Stefan Buszczyński.

Posłannicy

FIAT ET SPERA

Nakładem Wł. Bełzy.
We Lwowie 1876.

Z Związkowa Drukarnia.

15,-

POSŁANNICY.

Stefan Buszczyński.

POSŁANNICY.

OBRAZ DRAMATYCZNY

W PIĘCIU ODSŁONACH.

WE LWOWIE, 1876.
Nakładem księgarni Wł. Bełzy
(w hotelu George'a).

Optamus placere bonis, pravis odiosi haberi; omnibus enim placere, nemini placere est.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie w hotelu Żorża.

Słowo wstępne

do obrazu dramatycznego

p. n.

POSŁANNICY.

Byłem bardzo młody gdym nakreślił obraz dramatyczny p. t. *Demokraci i Arystokraci*. Przed kilkunastu laty okazał się na widok publiczny w Poznaniu; a chociaż wyszedł u jednego z najpierwszych księgarzy naszych, zawierał do tysiąca drukarskich błędów; w tej liczbie niektóre były potworne, zmieniające zupełnie znaczenie myśli. Wiele też całkowitych wierszy opuszczono.

Musiałem ogłosić go bezimiennie, gdyż mieszkałem pod rządem, który wówczas więcej niż kiedykolwiek uważał za zbrodnię najlżejszą wzmiankę o ofierze lub poświęceniu się dla społeczeństwa; a chociaż utwor ten nie mieścił w sobie nic takiego coby było drażliwem dla jakiejkolwiek władzy, prawowitej czy nieprawej, doczekał się jednak zaszczytu

zwiększenia olbrzymiego spisu tak zwanych „książek zabronionych“.

Ponieważ zaś, w skutek przepisów cenzuralnych, o dziełach do tego należących szeregu, tylko z największą można było mówić oględnością, przeto krytyka w czasopismach warszawskich i wileńskich, jakkolwiek pochlebnie wyraziła się o autorze, musiała ograniczyć się krótką wzmianką o tej pracy, nie śmiejąc wspomnieć nawet, iż głównym celem obrazu było: przedstawienie dodatnich i ujemnych stron w dwóch obozach rozdzielonego przesądami społeczeństwa, aby okazać potrzebę zneutralizowania żywiołów niegodnych, szkodliwych, a razem konieczność zjednoczenia się, wzajemnej pobłażliwości i zgody.

Sama myśl ta autora była dostateczną dla komitetu cenzury by zapobiedz rozpowszechnieniu się książki w największej części naszego kraju. Znalazł się przytem w Poznaniu pewien recenzent, który w poglądzie swoim zbliżał się zupełnie do pojęć komitetu cenzury i dzieło bez żadnego względu wskazał na zagładę, nie wdając się w długie wywody ani dowody. Nie prędko potem dowiedziałem, się iż ów recenzent miał wstręt do wszystkiego co ma jakikolwiek związek z ojczyzną, narodowością, poświęceniem lub poezją. Ponieważ zaś wystąpił zuchwale a butno, niby poważny krytyk, uchodzący za erudyta, badacza i wielkiego dyplomatę razem, publicz-

ność uwierzyła mu na słowo i długo o dramacie nikt nie słyszał.

Są ludzie, którzy znając się na filologji, umiejąc wyczytywać stare dokumenta, wyobrażają sobie, że mają już prawo wyrokować o wszystkiem, wchodzić w dziedzinę uczuć, poezji i krajać ducha skalpelem swojego rozumu, niby trupie ciało na anatomicznym stole. Biada dziełu, którego dysekcją mają ochotę zająć się tacy krytycy!

Nagana owego recenzenta, oficjalnie zapatrującego się na utwor, nie zrobiła tedy żadnego wrażenia na autorze *Demokratów i Arystokratów*.

Będąc z zasady zawsze przeciwnikiem wszelkich krańcowych ostateczności, uwielbiałem bezstronność genjalnego hrabiego Alexandra Fredry (ojca) i znakomitego Józefa Korzeniowskiego, wyrażającą się w ich dramatach. Im też, choć nie znany osobiście, bez wymienienia nazwisk, poświęciłem młodociany mój utwór.

Wprędce po ogłoszeniu go, przejeżdżając przez Lwów, gdzie krótko mogłem zabawić, wpadłem do domu hrabiego Fredry wieczorem. Służący oznajmił mi, iż hrabia chory i nikogo nie przyjmuje. Zostawiłem więc książkę moją wraz z kartą wizytową. Jużem wychodził gdy służący wrócił mówiąc: że hrabia prosi mnie do swego pokoju. Zacny gospodarz domu przepraszając, że przyjmuje w łóżku, za-

chwycił mię uprzejmą, prawdziwie staropolską gościnnością. Ponieważ widocznie był bardzo osłabionym, nie chciałem nadużywać jego dobroci; w kilka minut pożegnałem go, uniosłszy z sobą najmilsze wrażenie i radość z poznania męża wielkich zasług na polu ojczystego piśmiennictwa. Odtąd nie widzieliśmy się wcale. Nie wątpię, iż po przeczytaniu mojego dzieła, taki mistrz w sztuce dramatycznej znalazł w niem wiele przywar i usterków.

Przypadek zrządził iż w tym samym czasie podróżując po Italji, poznałem w Nizza ś. p. Józefa Korzeniowskiego, któremu podobnież ofiarowałem exemplarz mego dramatu. Bawiąc razem przez dni kilka w tem mieście, widywaliśmy się dość często. Korzeniowski przeczytał dramat, a gdym go prosił o szczere wypowiedzenie zdania, z całą otwartością wskazał mi błędy, uchybienia przeciw warunkom scenicznym; lecz zarazem obdarzył tę pracę z innych względów wielkiemi pochwałami. To mnie uzbroiło pancerzem obojętności przeciwko pociskom wszelkiej krytyki. Autorowie nie troszczą się o szczerość pochwał! Wspomnieć tu jednak muszę, iż nigdy z zaślepieniem na mój utwór nie patrzyłem. Nie pisałem wyłącznie dla sceny; a ogłaszając go dodałem w końcu słowa, które czytelnik znajdzie na ostatniej stronicy: „Nie wszystkie sceny tego dramatu mogą być przed„stawione w teatrze. W niektórych ustępach brak

„życia, brak działalności; co może usposabiać do „ziewania publiczność zawsze chciwą silnych wzru„szeń a nie patrzącą poważniej, głębiej. Oświeceni „artyści dramatyczni sami najlepiej osądzą, jakie „sceny powinny być w grze wyrzucone“.

Kreśląc ten obraz nie miałem na względzie, ściśle mówiąc, ani teatru ani też jakichkolwiek wymagań sztuki, wymagań, które częstokroć odwołują się poważnie do pewnych tak zwanych „zasad“, narzucają arbitralnie autorom jakieś tak zwane „prawidła“; a gdy przyjdzie porównać z sobą owe zasady i owe prawidła, znajdujemy w nich djametralne sprzeczności. Kto uważnie przeglądał dramatyczne poemata i dramata starożytnych i nowoczesnych pisarzy, łatwo przekona się, iż żaden autor (nie wyłączając nawet dawniejszych z XVII wieku) nie krępował się owemi prawidłami o których szeroce każda krytyka rozprawiać lubi. W najznakomitszych autorach dramatycznych przeszłości, czy to poważnych jak Schiller, czy komicznych jak Molière, znajdziemy n p. opowiadania, zawierające w sobie ośmdziesiąt do dziewięćdziesięciu wierszy!... W dzisiejszych pisarzach teatralnych, w fabrykantach efektów, w pisarzach takich jak Sardou, A. Dumas i inni, których jedynym celem: „efekt“, silne wrażenie, bez idei wyższej, a najczęściej z zamiarem przeprowadzenia sofizmatów przez błoto bezeceństw

pod pozorem moralności, widzimy nieraz przez trzy akta, na pięć, długie, zimne rozprawy, nie ubarwione bynajmniej akcją, a tylko na dobrych scenach podniesione doskonałą grą artystów. A jednak któryż z recenzentów, piszących szablonowe krytyki, zaniedbał wystąpić z erudycją mówiąc o „rozwlekłych opowiadaniach, zbyt długich monologach, o braku akcji, o djalogach nie wzbudzających zajęcia“ i t. p. jeżeli chciał zganić sztukę, lub o „akcji żywej, dramatyczności scenicznych efektów“ i t. d. jeśli sztukę chciał pochwalić?!...

Tak bywało dawniej i dziś tak jest. Krytyka przez to straciła wszelką powagę. Od Zoilów nie byli wolni najwięksi nawet mistrze. To dało powód jednemu z czcicieli Schillera, do napisania pod jego popiersiem, temi czasy, wiersza, kończącego się słowami:

. . . . „Dumm gelobet.
„Dumm getadelt
„Und zuletzt sogar geadelt!
„Vergib deinem Vaterland,
„Meister! seinen Unverstand.“

Pisarz skromny, któremu przez myśl nie przejdzie chęć mierzenia się z olbrzymami, podlegającymi zarówno rozmaitym a często sprzecznym dzieł swoich ocenom, tem bardziej obojętnym być musi na

sąd krytyków, patrzących powierzchownie albo kierujących się stronniczym poglądem.

Chociaż studjowałem najznakomitszych mistrzów i porównywałem ich utwory, chociaż pilnie badałem rozliczne zdania o sztuce poważnych estetyków, nie naśladowałem nikogo a tem mniej pisarzy nowoczesnych, jakiejkolwiek narodowości, wielkiego nawet używających rozgłosu. Nie chciałem też niewolniczo krępować się żadnemi prawidłami z góry narzuconemi. Nie korzystałem, n. p. z owych dozwolonych przez teorję, acz śmiesznych *a parte* tak nadużywanych a tak ułatwiających pisarzowi wyjaśnienie myśli. Nie wprowadzałem intrygi, nieraz w najpoważniejszych wymyślonej dramatach, niby dla podniesienia niezwykłej „sytuacji“ w sposób tak zabawny, że chyba małe dzieci intrygować tem można. Nie troszczyłem się o przywileje dozwolone przez teoretyków, ani też o kapryśne wymagania indywidualnego widzi-mi-się. Tak powstał obraz z licznemi wadami, ale przynajmniej mój własny.

Po ogłoszeniu go, długo sam o nim wcale nie myślałem, zajęty czem innem. Nareszcie w lat kilka potem zjawił się w *Czasie* niespodzianie wielce zaszczytny dla mnie rozbiór *Demokratów i Arystokratów*. (*Czas. Tygodnik paryski.* 22. Maja 1867 r.)

We trzy lata później, przedstawiono tę sztukę

z licznemi zmianami i dodatkami uczynionemi przezemnie w rękopisie, na teatrze krakowskim za dyrekcji ś. p. Skorupki który żądał, nie wiem dla jakich powodów, zmiany tytułu. Uznałem, stosując się do jego życzenia, iż dość właściwą nazwą będzie: *Mitra i krzyż*.

Główne role przyjęli pp. Bolesław Ładnowski (Konrada), Fiszer (Mrozowicza), Eker (Prezesa) i dziś już zgaśli z powszechnym żalem a wielkim dla sceny narodowej uszczerbkiem: Felix Benda (Majora), tudzież Ortyński (Tężyńskiego).

Z kobiet: pani Parżnicka wykonała rolę Matyldy, pani Wolska xiężny.

Niepodobna lepiej wywiązać się z zadania jak wymienieni artyści P. B. Ładnowski ze znanym publiczności naszej wrodzonym darem, z tym poetycznym zapałem, który go odznacza, z głęboką znajomością najlżejszych odcieni duchowych wrażeń, ze stosowną, wyrazistą, pełną harmonji i godności mimiką, obok dźwięku mowy podającego się za każdem słowem, odegrał bardzo trudną rolę Konrada, exaltowanego młodzieńca, marzyciela, dumnego osobistą wartością, szydercy lecz do wszelkich gotowego poświęceń.

Xiężniczkę Matyldę przedstawiła pani Parżnicka z nieporównaną dokładnością w wyobrażeniu zacnego, niewieściego serca, walczącego pomiędzy

miłością a poświęceniem własnych uczuć dla sprawy publicznej. Tkliwość, wyniosłość wielkiej duszy, nareszcie udana obojętność pełna rezygnacji, w końcu rozpacz i boleść nad siły zlewały się w jej grze w doskonałą całość.

P. Eker rolę Prezesa, nieco śmiesznego lecz uczciwego człowieka, żyjącego w tak zwanym wielkim świecie, odegrał w sposób, któremuby najwybredniejszy krytyk nic do zarzucenia nie znalazł.

Chytrego, rubasznego Mrozowicza wybornie zrozumiał i przedstawił p. Fiszer, ten znakomity, zdolny do wszelkich ról artysta.

Z nie żyjących już dziś artystów: Felix Benda zacnego, starego Polaka, wysłużonego oficera i Ortyński rolę lekkomyślnego, a jednak z natury dobrego, wietrznika, ulubieńca salonów: Tężyńskiego, wykonali w sposób nadzwyczaj naturalny i sympatyczny.

Niestety, jedna z najtrudniejszych ról, a może najtrudniejsza i bardzo ważna rola Hrabiny, dostała się pani Borkowskiej, nie mającej właściwych do niej usposobień. Niemniej ważna rola Xięcia daną była także aktorowi wcale nie odpowiednich zdolności, ś. p. Wolskiemu.

To bardzo sztuce zaszkodziło.

Teatr był napełniony. Z rzęsistemi oklaskami i kilkakrotnem wywoływaniem przyjęto dramat. Mo-

nologi pani Parżnickiej i pana Ładnowskiego przerywano niekiedy okrzykami z prawdziwego pochodzącemi zapału. Przy końcu rozbudzone przez Matyldę i Konrada wrażenie zamieniło się w burzę oklasków. Ale z powodu niestosownego obsadzenia dwóch ról główniejszych, (co było koniecznością wypływającą z braku artystów) ogólne przedstawienie nawet autora zadowolić nie mogło.

Na drugi dzień, sprawozdawca teatralny z redakcji *Czasu* (14 Maja 1870) ogłosił dość obszerny rozbiór dramatu, z sądem bardzo dla autora pochlebnym.

Wprędce jednak grono artystów krakowskich rozjechało się na letnie ferje, teatr zamknięto, i odtąd przedstawienia tej sztuki nie wznowiono.

Dramat ten znalazł także przeciwników. Chociaż sztuka składa się z pięciu aktów, zaraz w pierwszym akcie jeden z młodzieży starożytnej rodziny, pewny siebie jak każdy co szkół nie skończył w mniemaniu że mu tytuł zastąpi rozum, z uśmiechem szyderczym, z hałasem, z oznakami niezadowolenia okazanego przed całą publicznością, opuścił teatr nie czekając zapuszczenia zasłony. Ludzie źle wychowani są zawsze i wszędzie.

Niektórzy utrzymywali głośno, że ta sztuka jest raczej saryrą dramatyczną, zwłaszcza w pierwszej połowie.

Jeden z dzienników, także w Krakowie wychodzących, zawyrokował iż utwor ten nie ma dość dramatyczności i że autor słusznie nazwał swój „poemat“ tylko „obrazem dramatycznym“.

Przyznaję, iż ten sąd mógł się wydać bezstronnym i sprawiedliwym ze stanowiska wrażenia, jakie na spokojnym a chłodno patrzącym widzu wywołać mogło owo przedstawienie. Lecz śmiało twierdzę iż krytyk zmieniłby zdanie, gdyby role Hrabiny i Xięcia, — właśnie do najdramatyczniejszych należące — powierzone były innym osobom.

Rolę Hrabiny miała odegrać znakomita pani Hofman, gdy nagle przed samem niemal przedstawieniem zachorowała. A czyż ją ktokolwiek mógł tak łatwo zastąpić?!...

Opowiadano mi, iż pewien Warszawianin, podobno korespondent *Kłosów* czy *Tygodnika ilustrowanego* był na tem przedstawieniu i w sprawozdaniu nie żałował nagany (której nie zdarzyło mi się jednak czytać), utrzymując iż monologi są zbyt długie a tem samem nudne. W tem miał słuszność. Wszelkie monologi przeznaczone są dla małej tylko części publiczności. Nie wszyscy mogą je zrozumieć. Jakoż przewidując podobny zarzut, chciałem monologi Konrada i Matyldy skrócić. Oparli się temu z wielką uprzejmością p. Ładnowski i p. Parżnicka; tak się w nich bowiem rozmiłowali, że doskonale

wyuczyli się ich na pamięć i prosili suflera, aby im nie podpowiadał; uznali że szkoda byłoby je obcinać. To pochlebiało autorowi. Któż jest zupełnie wolnym od miłości własnej?!.. Ta wada czy śmieszność na tem polu może najgodniejszą przebaczenia. Pani Parżnicka, w swojem mieszkaniu, powtarzała mi z pamięci główne ustępy z roli Matyldy w sposób zachwycający. Ale to co zachwyciło autora znudziło na scenie niejednego widza, chociaż przez wielu przyjętem było z nieudanym, szczerym zapałem, wywołanym nadzwyczaj piękną deklamacją.

Bądź co bądź, obojętnie znosząc nagany a z wdzięcznością przyjmując uwagi znawców i pochwały, będąc sam dla siebie najsurowszym sędzią, poznawszy błędy „obrazu dramatycznego“ ze stanowiska wymogów scenicznych, jakkolwiek nie miałem na względzie wyłącznie teatru i nie pochlebiałem sobie abym mógł odpowiedzieć wszelkim warunkom dramatyczności, przez usunięcie pewnych niedostatków, przystąpiłem najprzód do skrócenia wielu scen. Części monologów które mogą być opuszczone bez nadwerężenia całości, oznaczyłem klamrami. Następnie, zmieniając i poprawiając jedno po drugiem, przerobiłem prawie wszystko w tym młodzieńczym utworze, nacechowawszy go niejako doświadczeniem dojrzałości. W skutek tej metamorfozy zjawił się

najwłaściwszy (w dwoistem znaczeniu: ironicznem i prawdziwem) tytuł: *Posłannicy.*

W liczbie innych, czyniono mi jeszcze zarzut, iż niektóre charaktery przedstawiłem zbyt czarno. Nigdy zarzutu tego nie mogłem zrozumieć. Wszak widzimy w tragedjach zbrodnie od których włosy na głowie powstają, a w tegoczesnych dramatach— brudy, występki wzbudzające ckliwą obrzydliwość! Tu życie społeczne jakiem jest, ze światłą stroną i z cieniami, przedstawione w walce dążącej do życia jakiem być powinno. Jeżeli potworem jest Hrabina, zacną choć niepomiernie dumną jest Xiężna. Jeśli zbrodniarzem Xiąże, uczciwym niewątpliwie może być nazwany Drabiński, choć chwiejny, choć próżny do śmieszności. Prawym, wzorowym obywatelem jest Major niegdyś czynny i energiczny, później złamany, zniechęcony do społeczeństwa, lecz zawsze wpływowy świadectwem przeszłości, czystem życiem, pomimo to że spoczywa na laurach, pragnąc już na starość spokoju. Nikczemnym jest Mrozowicz, niepewnego pochodzenia kosmopolita; ale szlachetnym Tężyński, aczkolwiek nie bez wielu przywar, trochę zepsuty i lekkomyślny. Głupim jest Hrabia ze swą arystokratyczną dumą bez zasług; śmieszną Mrozowiczowa ze swemi pretensjami; a xiężniczka Matylda i Konrad są to typy zbliżone do ideału.

Zarzutu zbyt ciemnego malowania niektórych postaci nie pominął także wyżej wzmiankowany krytyk, autor *Tygodnika paryskiego* w *Czasie*, lecz tę stronę obrazu przynajmniej usprawiedliwia w ten sposób: „Po podnoszącem malowidle czystego „wschodu i zachodu ducha, wyobrażonego „w młodym i w starym (w Konradzie i w Majorze), „których zadaniem ofiara od kolebki do trumny, „następuje mętny, trywialny i czarny obraz społe- „czności zbłąkanej. Może tu cień zbyt czarny, może... „wierzyć chcemy że jest w rzeczywistości jaśniej; „ale malarzowi, poecie, a mianowicie dramaturgowi „prawo sztuki przysługuje w tym razie, a nawet „każe podcieniowywać jasne barwy, żeby grubszym „zmysłom uwydatnić ideę.“

Usunąć cienie w tym obrazie, chociażby zbyt silne, było niepodobieństwem. Sprzeciwiałoby się to nadto głównemu charakterowi utworu. Trudno mi także zgodzić się ze zdaniem pomienionego krytyka, który w zaparciu się miłości widzi „skazę na ideale niewieściego przywiązania“ a zatem „w zakończeniu wadę dramatu“. Trudno przystać na te słowa: „Serce „kochanki nigdy się nie myli. Stanowisko kochającej „kobiety słoneczne, przez samego Boga wskazane.... „Ona więc zejść z niego nie może, nie zejdzie (?) „choćby ją całe piekło ciągnęło w inną stronę migo- „taniem błędnych ogników.“ — Matylda nie znając

serca ludzkiego, chwyciła się złego może lecz szlachetnego środka; poświęciła się dla publicznej sprawy; zrobiła co mogła..... Zadała wprawdzie straszny cios Konradowi, bo w tej, jakkolwiek twardej, lecz nie zupełnie wolnej od słabości duszy, walczyła miłość z bezwzględną powinnością o pierwszeństwo.

Tyle tylko na obronę głównej myśli w stosunku miłośnym.

Poprzestaję na tem co tenże krytyk wyrzekł: „Pierwsza połowa dramatu do sceny nadaje się wy„bornie; druga na wyrost dla ludzkości pisana, „przy skróceniu da się nagiąć do wymogów dzisiej„szego teatru. Skrócenie zaś jest koniecznem, w ca„łości bowiem ta sztuka nie mogłaby być teraz „przedstawioną ogółowi. Powszechność o której „szczęście chodzi małoby jeszcze tam zrozumiała. „„Ale przyjdą czasy, że świat nowy dzisiaj w powiciu, „„zrozumie siebie i powie o sobie: „Jestem,“ — a nie „„będzie drugiego głosu na świecie coby mu mógł „„także odpowiedzieć: „Jestem.“ To będzie koniec „„walki demokracji z arystokracją.““

Inny krytyk zarzuca temu dramatowi „niejasność,“ utrzymując, iż „dla widzów wiele w nim „rzeczy było niezrozumiałych, bez wewnętrznego „z sobą związku. Scena zaś potrzebuje przedewszyst„kiem jak najsilniejszego uplastycznienia; widzom

„należy przedstawiać wszystko z najlogiczniejszą „konsekwencją, jeżeli można się tak wyrazić, potrzeba „im wszystko kłaść jak łopatą do głowy.“ („*Kraj*“ 14. Maja 1870 Nr. 110.)

W takim razie dramat nie wieleby się różnił od katechizmu lub djalogów dla dzieci, gdyby nawet ożywiony był najbardziej zajmującą akcją. A jednak ten krytyk zupełną ma słuszność i zdanie jego trafiło mi do przekonania!... Czy stąd wynika iż autor powinien zniżać się do poziomu pojęć publiczności, stosować się do wymagań widzów? to inne pytanie. Ale jest w tem dowód z jaką trudnością pewne ideje wnikają w umysły nie przygotowanych jeszcze słuchaczy, „niedorosłej“ publiczności, gdy ich nawet krytyków bystry wzrok nie dostrzega. Może być w tem wina autora; zapewne!... lecz w sprawie o dramatyczności lub jasności utworów, przedstawionych na scenie, kto ma rozstrzygać: krytycy? czy mistrze pierwowzorów, arcydzieł?

Weźmy parę przykładów. Nie roszcząc sobie bynajmniej pretensji sprostania takim genjuszom jak Szekspir, Lessing lub Göthe, każdy autor przedsiębiorący malować jakiś obraz dramatyczny, ma przecież prawo uczyć się od nich, brać ich sobie za wzór. A chociażby im w niczem nie dorównał, z pewnością więcej od nich niżeli od krytyków się nauczy. Wszak Juljusz Cezar pomimo wielu scen dra-

matycznych, dla każdego jasnym ani zrozumiałym nie jest. To samo da się powiedzieć o innych dramatach Szekspira. Czy wszyscy zrozumieją monologi Hamleta? czy mają one blizki „wewnętrzny związek“ z całą sztuką?...

Nathan der Weise Lessinga jest teologiczno-filozoficzną dysertacją w formie dramatycznej. Lessing sam nawet nazwał ten utwor dramatycznym poematem *ein dramatisches Gedicht.* Cóż dopiero mówić o Fauscie Göthego?!... A jednak wszystkie te sztuki przedstawiają w teatrach całej Europy.

Jeżeli usprawiedliwiam zarzuty czynione mojemu utworowi i usterki, które w części starałem się usunąć, idąc za światłą radą znawców, nie grzeszę zarozumiałem przypuszczeniem iż wolnym jest od wielu innych wad. Pocieszam się tylko tą myślą, że są gorsze.

Chcąc uwydatnić pewne charakterystyczne strony społecznej działalności, chcąc też zarazem nadać więcej życia obrazowi, poprawiając rozbudziłem w sobie ochotę przemalowania go. Nie spostrzegłem się jak tym sposobem zjawił się prawie nowy obraz, — może nie lepszy od poprzedniego ale zupełnie inny.

Zasadnicza idea została ta sama; inne zaś przeniesione na bliższy plan, wyszły na wierzch.

Czy ten obraz przedstawia w małych rozmiarach, ducha, działania i losy naszego narodu? czy

jest to mikrokosmos (mały światek), niby w zmniejszającem zwierciedle, wyobrażający życie wielkie? — czytelnik albo widz osądzi.

Utworu tego godłem mogą być słowa Zygmunta Krasińskiego:

A kto ofiar spełnił wiele,
lub na ofiar poległ czele, —
to mi arystokrata!

Możnaby dla dopełnienia godła tego, zarówno jak dla scharakteryzowania obrazu, dodać: „A kto nie odrodzi się z ducha i z ciała nie wnijdzie do Królestwa Bożego.“

Kto z dobrą wolą wpatrzy się w ów epizod objęty szczupłemi ramami, a pochwycony z życia ogólnego, dostrzeże iż w duszy zdrowej części narodu odgrywa się niewidomie wzniosły dramat, nie dostępny, nie zrozumiały dla wszystkich lecz bogaty w zarody ważnych następstw na przyszłość. W życiu codziennem zaś, zewnętrznem, żywioły obce, zaszczepione bez tradycji, albo oderwane od narodu i żyjące sokami jego jak pasożyty, albo wreszcie zarażone zgnilizną zepsutego acz świecącego jak próchno społeczeństwa, porwane prądem bezbożnego postępu, przedstawią się widzowi i czytelnikowi jako czynniki *komedji niebosk*i*ej*, której widownią cała prawie Europa. Nad wszystkiem wzniesie się wieczysta prawda najwyższego prawa.

Puszczam śmiało w świat, choć na niepewne losy, to z ducha czasu poczęte dziecię mojej wyobraźni, w nowej, zmienionej znacznie barwie, może nieudolne, może schorzałe pod wpływem wyziewów społeczeństwa w którem wzrastać musiało, ale puszczam je z przekonaniem, że służyć będzie uczciwej idei.

Autor.

Drezno, 28 Marca 1876.

Słowo wstępne
do pierwszego wydania obrazu: Demokraci i Arystokraci.

Przedstawienie w formie dramatycznej głównych zarysów fizjonomji dzisiejszego społeczeństwa, przeobrażających się w objawach codziennego życia, ciężkiem jest dla autora zadaniem. Trudniej atoli tworzyć ideały i oblec je w szaty do obecnej rzeczywistości zbliżone — w epoce która jest wigilią wielkiego jutra, w chwili gdzie ruch narodu jest raczej słabym życia znakiem, nie zaś działalnością poczuwającego się w siłach społeczeństwa.

Działanie akcja — to zasadniczy żywioł dramatu. Określenie stosunków istniejących między ideałem a rzeczywistości światem, to główny cel dramaturga. Pochodzenie tych światów jest jego ostatecznym krańcem. — Ideał spoczywa w duszy autora, w jego wyobraźni. On pragnie zrealizować go — oblec w dotykalne kształty ciała, wprowadzić

go w bój z zastępami nieprzyjaznych mu żywiołów; on chce tchnąć weń twórczą siłę ducha — jedyną siłę zwycięstwa godną — i sztandar tryumfu zatknąć na zwaliskach ujemnych a wstecznych zasad. Atoli zwycięstwo nie w jego mocy, gdy przedsiębierze malować społeczeństwo istniejące w czasie bieżącym, społeczeństwo *jakiem jest!* — Właściwie przeto, dramat przedstawiający w obecnych warunkach społeczeństwo nasze drzemiące, jest niestósownem zjawiskiem. A jednak dramat odgrywa się w duszy narodu, bez zeznania jednostek społeczny łańcuch składających.

Żyjemy w czasie gdzie wszystko chwieje się, w chwili opromienionej jutrznią jakiejś obiecanej przyszłości, a więc i owe jednostki wyraźniej ponad tłumem narodu górujące, muszą fatalistycznie chwiać się, gdy podstawa na której stoją, drży i na wszystkie miota się strony.

Zapleśniałe przesądy żyją jeszcze tchem tradycjonalnych wspomnień, prawem historycznej dawności; lecz będąc w istocie przeczeniem logicznej awożności i idei chrześcjańskiej, w końcu runąć muszą. — Cnota, zacność, spełniwszy powołanie swoje, świetnych czynów ciągiem, w zgrzybiałej, nie mniej wszakże czcigodnej ospałości, dokonywa spokojnie żywota, co za przykład winien służyć pokoleniom młodszym. — Wrodzona poczciwość narodowa,

skarykaturyzowana wernixem nowych pojęć, zaczerpniętych w żywiołach obcych, bez celu w życiu, zeszła do biernego stanu, który się równa występnemu kwietyzmowi. — Zbrodnie — niechybnym są owocem ducha złego, gdy idea niebiańska przeważnej nie bierze góry. — Tylko dusze wzniosłe, szlachetne, którym ciasno w ramach powszedniego życia, rwą się, szamocą, pędzą. Ich celem.....

Dnia 17./29. Maja 1857 roku.

Na Podolu.

POSŁANNICY.

OSOBY.

	Lata.
Xiąże Janusz	50.
Xiężna z Hrabiów Staborskich Januszowa	40.
Matylda, ich córka	18.
Hrabia Stanisław Staborski, brat Xiężny	60.
Hrabina Teresa Staborska, jego żona	45
Prezes Drabiński	60.
Władysław Ostrowiecki, demissjonowany major	70.
Konrad Przewolski, przyjaciel majora	30.
Piotr Mrozowicz, Dr. filozofji	45.
Pani Mrozowiczowa, jego żona	30.
Edward Tężyński	25.

P. Walenty

P. Gaudenty.

Lokaj. — Goście.

Krakowiacy. — Lud.

Rzecz dzieje się w XIX. wieku.

NB. Wiersze wzięte w klamry, na scenie powinny być wyrzucone.

AKT PIERWSZY.

W domu Majora, na wsi.

Na boku stół. Na nim książki. W koło fotele, krzesła. MAJOR w czamarze kontuszowym krojem zrobionej, czyta gazety. KONRAD starannie lecz bez przesady ubrany, pali cygara, siedząc.

I.

MAJOR (dzwoni. Wchodzi służący.)
Do służącego.

Na kilkanaście osób herbatę i lody
przygotować,

(służący odchodzi.)

KONRAD (obracając się do MAJORA.)

A to co? Jakież są powody
tak licznego zebrania? Na wsi — to rzecz rzadka;
zwłaszcza tu — w domu wdowca.

MAJOR.

Nie trudna zagadka.....

KONRAD (przerywając.)

Wiem, wiem! Sprawy publiczne... Sejmik wyborowy.
Nudzą się; więc do plotek będzie powód nowy.

(Po chwiii złośliwie.)

Zatem *radzić* tu będą.

MAJOR.

Dzisiaj przed wieczorem
mają się zjechać do mnie — radzić nad wyborem
Posła do Rady Państwa, Prezesa, Sędziego.
A razem też odwiedzieć może chcą starego.

KONRAD.

To prędzej. Wszak publiczne dobro im nie w głowie.
Jakież u nas narady?! Zbiorą się. Ten powie:
Biało. Ów wrzeszczy: Czarno. — Co? czarno! Więc zwada.!!!
I tak-to każda u nas kończy się narada.
O dowody nikt nie dba. Kto w płucach dość silny,
kto ma więcej dowcipu — ten już nieomylny.
Na co się komu zdadzą logiczne wywody?!
Młody — nie ma słuszności. Dla czego? — Bo młody.
Stary — at! brednie prawi. Dla czego? — Bo stary.

MAJOR (z westchnieniem.)

Dawne to, mój Konradzie, dawne to przywary!
Cóż poradzisz?!... Gdybyż to — gdyby tylko tyle
różnicy było w ludziach! Gdyby w wieku, w sile,
w zdolnościach umysłowych, w zasługach lub cnocie
była cała różnica — nie w herbach, nie w złocie,

(zapalając się)

nie w tytułach zszarganych zbrodnią lub podłością,
nie w honorach kupionych podstępem, chytrością,
łzami miljonów bliźnich; gdyby..... at! marzenia!
Czyliż już nic lepszego niema do mówienia?!...
Szkoda słów! Dużo wody — o! dużo upłynie,
nim ludzie do rozwagi przyjdą — nim złe minie.

(Smutnie.)

Próżne ubolewania! — Brzydkim jest świat zbliska,
To prawda!... Lecz są też w nim poczciwi ludziska.
Któż bez ale?...... Trza czasem coś bliźnim wybaczyć.
Trudno od razu, cały świat ten przeinaczyć.

KONRAD.

Lecz z ich głupstwa, toć przecie, choć pośmiać
się godzi.

(Wstaje.)

Szczerze rad będę gościom.

MAJOR.

Co to tobie szkodzi
że ktoś głupi? —

KONRAD.

I owszem — ja bawię się nimi.
Jabym oszalał między mędrcami samymi,
których wzrok, widząc tylko co mu wskaże księga,
dalej jak druk lub stary szpargał nie dosięga...
[dla których ludzkość cała tryskająca życiem

jest rodzeniem się, wzrostem, upadkiem i gniciem.]
Dla mnie — kraj mój rodzinny, moich ziomków grono,
z ich błędami i cnotą, z ich pychą szaloną,
z ich odwieczną niezgodą, [z ich zapałem świętym,
z ich butą staroświecką i z tym niepojętym
lekkomyślności duchem] — to pracy mej pole.
Stamtąd rośnie pociecha, stamtąd rosną bole.
Czasem uśmiech radości na twarzy zabłyśnie,
czasem czoło się schmurzy, lub łza z oka tryśnie.
Tak żyję, mając z łaski twej błogie zacisze,
w którem mogę pracować. Marzę, czytam, piszę;
i dobrze mi! A gdy mię jednostajność znudzi,
pozwolisz że się trochę muszę pośmiać z ludzi.

(Wesoło.)

Mamy z tuzin sąsiadów. E! jest w czem wybierać.

MAJOR (uśmiechając się.)

Wnet przyjadą. Będziesz miał z kogo wzorki zbierać.
Złośliwa oso!

KONRAD.

Jakżem rad, jakżem rad szczerze.
Zmiłuj się — baw ich długo; zaproś na wieczerzę.
Będziemy mieć rozrywkę, bo pewno ciekawe
towarzystwo się zbierze.

MAJOR.

Wszak nie na zabawę
tu przyjadą.

KONRAD.

A po cóż? Nic pożytecznego
nie obmyślą dla kraju. Co im tam do tego:
urzędnik zły czy dobry. — Kucharz doskonały,
dobre wina, brzuch krągły, to przywilej cały
na wszelkie dostojeństwa, godności, urzędy,
na szacunek spółbraci i ufność i względy.
Małoż takich? Więc o czemże mają tu radzić?
Jé smacznie, karmi dobrze — na urząd go wsadzić.
[Pod tym dołek wykopać, tego wywieść w pole,
a w końcu zapić winem tę sprawę przy stole.]

MAJOR.

Ale zawsze *rozprawiać* lubi szlachta nasza.
A zapewne dla dysput do mnie się zaprasza.

KONRAD.

Tak, z nudów, — żeby trochę ożyć przy gawędzie.
Niecierpliwie ich czekam. — I Xiąże przybędzie?

MAJOR.

Zapewne.

KONRAD. (szyderczo.)

Ten mistyczny posłannik ze Wschodu,
jutrznia.... dla odrodzenia zgniłego Zachodu.
I Staborski?

MAJOR.

Tak mniemam.

KONRAD.

Pan od stóp do głowy,
któremu los dał w miejsce rozumu, wymowy,
rodowód z lat tysiąca i herb promienisty.
Ach! to krwi pańskiej, pańskich kości extrakt czysty.
Któż jeszcze?

MAJOR.

Piotr Mrozowicz.

KONRAD.

Nasz cywilizator,
postępowiec, filozof, wielki konspirator.....
To ciekawy exemplarz!... Niegdyś cichy, święty,
zakonnik, — potem żołnierz, wreszcie bursz zawzięty,
typ niemieckich studentów, z pojedynków sławny,
doktor wszelakich nauk, do wszystkiego wprawny;
Faust czy Frost, z Brandenburga czy z Berlina rodem,
który pono z litości nad naszym narodem,
raczył przyjąć nazwisko polskiego szlachcica,
by światłem słońca, planet, komet i księżyca,
szerzyć wśród nas oświatę; — w końcu z posłannika
został mężem bogatej córeczki rzeźnika;
zapalony demagog i liberalista,
lichwiarzów królem, jako prawy kolonista. —
Cha, cha, cha! To dla badań zajmujące pole!....
Drabiński pewno także znajdzie się w tem kole?

Wielki człowiek do małych rzeczy, co w potrzebie,
każdego szczerze kocha a najwięcej siebie;
dygnitarz, — stosunkowicz, — wielki dyplomata!...
Jenerałem ma stryja, Tajnym Radcą brata;
synowica przy dworze damą honorową.
Tu krzyż, — tam klucz, — tu wstęga z gwiazdą
brylantową.
W spadku mnóstwo tytułów od ojca i dziada.
Prezes wielu towarzystw!... To postać nie lada! —

(Po chwili milczenia.)

A każdy, nic nie robiąc, ma siebie z koleji
za posłannika jakiejś wysokiej idei!.....

MAJOR.

Mój Konradzie! Prezesa zasługi i cnoty
wynoszą go nad innych. Masz trochę ochoty:
ogadywać sąsiadów. Wszak szereg ten cały
tytułów go nie krzywdzi. Na co ci się zdały
te przekąsy złośliwe, te szyderstwa, żarty?
Przez to nie będzie innym świat zawsze uparty,
a ty wlewając zwykle jad w każdą rozmowę,
tylko wszystkim, przez swoje drwinki nałogowe,
napróżno się narażasz.

KONRAD (szyderczo.)

Przesądy to dawne —
te zasługi i cnoty! Dzisiaj imię sławne,
obszerne włości, tytuł, nawet świetne długi
więcej dają powagi, niż cnoty, zasługi,...

[a złoto może nawet zmyć hańbę imienia,
lub zbrodni dodać jeszcze blasku i znaczenia.]

(Poważnie.)

O przyjaciół zaś niedbam, których zjednać trzeba
pokorą lub pochlebstwem. Dla kawałka chleba
zdań moich nie sprzedaję — mówię co mam w głowie.
To przyjaciel co w oczy, to moje przysłowie.

MAJOR (ironicznie.)

Więc jesteś przyjacielem Prezesa i Xięcia?

KONRAD (z zapałem.)

Ja cały naród kocham. — W miłości objęcia
chwyciłbym całą ludzkość, w każdym widzę brata.

(Smutnie uśmiechając się.)

Lecz gdy z samych półgłówków składa się pół świata,
cóż dziwnego że czasem z ich głupstwa się śmieję?!.....
A do żartów mam nader ważne przywileje:
gardzę złotem, dla tego też bezkarnie szydzę,
i gdzie duma się pyszni, ja tam śmieszność widzę; —
w szyderskiej formie, gorzką prawdą w oczy kolę.

MAJOR.

Szczególniejszy twój humor. Biorąc taką rolę,
mniemaszże, iż jak bocian, świat oczyścisz z gadów?
Siedmdziesiąt lat już żyję, znam moich sąsiadów.
Są źli, są dobrzy — różnie. Dopókim był młody
i jam gromił zdrożności. Cóż ztąd? kwas, niezgody.

Zaczęto mnie unikać, aż zmilknąć musiałem,
bo nie miałem z kim mówić. Dzisiaj życiem całem,
daję świadectwo mowie.

KONRAD (w uniesieniu przystępuje do MAJORA.)

Wiem co chcesz powiedzieć.
Tak — życiem, — życiem czynu można odpowiedzieć
wyższemu powołaniu, więcej niż słowami.
I ty, zacny Majorze — twojemi ranami,
[twoją krwią przelewaną w usługach dla kraju
świętem przechowywaniem praojców zwyczaju,]
nieskażonem sumieniem i przeszłością całą
wspaniały przykład dajesz. — Nam — cóż pozostało?!...

(Uroczyście.)

Nam zacnymi nie wolno być tylko w połowie.
Co indziej wadą, to się u nas zbrodnią zowie.

(Po chwili.)

Dziwisz się mym szyderstwom. — Całe moje życie
było tylko ofiarą, cierpieniem. Ja — skrycie
tylem przetrwał, przebolał w przeznaczeń koleji,
żem zgasił w sobie iskrę ostatnią nadzieji,
bym kiedy — co najdroższem było mem marzeniem,
mógł ziomkom przynieść korzyść pracą, poświęceniem.
Zdało mi się w młodzieńczym, szalonym zapale,
że przesądy wyniszczę, że egoizm zwalę,
że w imię świętej prawdy, chrześćjańskiej miłości,
rodaków mych do bratniej powołam jedności.

Marzyłem!..... A śród walki jam na każdym kroku
spotykał niechęć tylko, lub szyderstwo w oku.
Dzisiaj przebaczać umiem, ale nie pobłażać.

MAJOR.

Nie znam twojej przeszłości. Jakiekolwiek losy
ścigały cię, doznane zawody i ciosy
za podnietę do trudów powinny ci służyć.
Tylko duch słaby, może w nieszczęściach się zużyć.

KONRAD (ponuro).

Moje dzieje zbyt smutne! Ojciec poległ w bitwie,
a Matka, błogosławiąc — w ostatniej modlitwie,
konającemi usty, mnie w opiekę Bogu
oddała — i nędzarzom, — co żebrać u progu
pańskich domów musieli — by sprawić mej matce
ubogi pogrzeb, w brudnej na przedmieściu chatce.
Miałem wówczas lat dziewięć. — Gdym już matki zwłoki
odprowadził na cmentarz, — jak świat ten szeroki,
ja nie miałem nikogo — prócz Boga nademną
i błogosławieństw matki...... W oczach mi się ciemno,
w duszy straszno zrobiło; — nie wiem czy płakałem,
ale długo, o, długo, na grobie tym stałem....
[na grobie mojej matki..... aż w końcu usnąłem.....
Już słońce było w górze, kiedy się ocknąłem, —
zimno wskróś mię przejęło,—głód strasznie doskwierał,
a wszędzie było pusto; — gdziem tylko spozierał,

nigdziem głosu nie słyszał — i tylko w około
krzyże w Niebo wznosiły ramiona i czoło.]
Sił mi brakło. — Wtem starzec nachylony wiekiem,
który mi się szkieletem wydał nie człowiekiem,
podartego całunu okryty żałobą,
pociągnął mię za rękę i powlókł za sobą
Poszedłem żebrać. (Długie milczenie.)
[Starzec w nagrodę mi dawał
chleb suchy raz na dobę — i spłowiały kawał
sukna, z licznemi ślady od woskowej świecy,
snać resztki z katafalku, rzucił mi na plecy.
Och! wspomnienie tej nędzy dotąd serce rani.
Tak żebrałem dwa lata......]
Kiedyś mię spostrzegł Xiąże — a litością zdjęty
rozkazał, abym został do służby przyjęty....
[Przywieziono mię na wieś. — Odarty, schorzały,
znękany długim głodem, schylony, nieśmiały,
z owem piętnem haniebnem żebractwa na czole,
tydzień stałem przed zamkiem, klnąc moją niedolę!
Ktoś mię ujrzał — więc Xięcia o mnie zapytano.
Wrzucono mi odzienie — a potem kazano]
paść trzodę..... Kiedym igrał z owieczkami memi,
nie marzyłem o większej rozkoszy na ziemi.
[Miałem wkoło świat boski i słońce i kwiaty.
Zdało mi się że szczęście nie zgaśnie mi z laty.—]
Raz pasąc moję trzodę — pod lasem, w noc ciemną,
usłyszałem trzech ludzi rozmowę tajemną.

Jakąś zemstą miotani mieli wpaść o świcie,
by zamordować Xięcia, Xiężnę i ich dziécię.
W swej zemście nawet dziecku przebaczyć nie mieli.
Już wyostrzywszy noże do zamku iść chcieli,
gdy w ciemnościach ukryty do dworu pobiegłem
i Xięcia o zamiarze złoczyńców ostrzegłem.
Xiąże porwał zbrodniarzów. — Odtąd los mój cały
zmienił się — i swobody chwile uleciały!
Znikł urok mej ciemnoty. Za Xięcia staraniem
obdarzony nauką, sześć lat wychowaniem
trudniłem się Xiężniczki. — Wiesz resztę Majorze....
Dziś znalazłszy przytułek w twym gościnnym dworze,
choć mi tak błogo, dłużéj zostać tu nie mogę.
Powinność moja każe mi w dalszą iść drogę...

(Z zapałem.)

Tryumf prawdy lub wieniec męczeński na skroni!
Z krzyżem i z mieczem, w imię Orła i Pogoni!
To moje hasło.

MAJOR.

Tryumf prawdy zbyt daleki!...
Świat zszataniał i cofnął się o całe wieki.
A na Golgocie Zły Duch z Marsowem obliczem!
Lecz idź z wiarą, z nadzieją. Nie zrażaj się niczem.
Idź synu, gdzie cię wiedzie powołania droga;
z miłością bliźnich w sercu, śmiało, w imię Boga.
Chociaż rozstanie z tobą smuci mię i boli,
nie chcę w niczem twej słusznej sprzeciwiać się woli.

Może już mię nie ujrzysz — tylko na mym grobie
przyjdziesz wylać łzę żalu; wtedy wspomnij sobie:
że ja ci byłem ojcem, przyjacielem, bratem.
To może jeszcze ciebie pogodzi ze światem.

(Ściskają się.)

KONRAD (z rozrzewnieniem.)

Powołaniem mem praca — ale w każdej dobie
płacąc dług społeczeństwu, wiem com winien tobie.
Tyś mi był ojcem, bratem, ty mój umysł młody
kierowałeś radami. — Do twojej zagrody
może wrócę skłócony z marą którą gonię!..
Ty mi jak dawniej podasz przyjacielskie dłonie
i w ojcowskie ramiona pochwycisz jak syna.

(Po chwili.)

A teraz precz ze smutkiem! Zbliża się godzina
przybycia twoich gości. Nasze rozrzewnienie
dla nich wyda się śmiesznem. Panów przeznaczenie:
wesołość i zabawy. Sercu milczeć każą.

(Przechadzając się zagląda w okno.)

Ale czemuż ich nie ma? kiedyż się pokażą?

(dzwoni.)

Czy kobiety przyjadą także?

MAJOR.

Niewątpliwie.

KONRAD (z roztargnieniem.)

Przyjadą.

MAJOR (uśmiechając się.)

Kogoż to tak czekasz niecierpliwie?

KONRAD (roztargniony.)

Wszystkich — wszystkich. Wszak lubię towarzystwo nowe.
Weselej trochę. — (służący wchodzi.)

II.

KONRAD (do służącego.)

Cóż tam? Czy wszystko gotowe?
Nie widać jeszcze? — Wyjrzyj, proszę ciebie, w pole.

SŁUŻĄCY.

Proszę Pana — herbata i lody na stole.
Pan Staborski i Xiąże Janusz już są blizko.

KONRAD (przedrzyźniając żartobliwie.)

Pan Staborski i Xiąże Janusz już są blizko!

(do służącego, drwiąc.)

Czyś zwarjował? Co tobie? Szalony! szalony!
Jasny Hrabia Staborski, Jaśnie-oświecony
Xiąże Pan raczą jechać. — Cóż znowu? — czyż trzeba
ciebie uczyć tytułów? Et — kawałka chleba
nie wart jesteś, bo nie znasz służby. Nie wiem za co
Pan Major trzyma ciebie, takiego ladaco!

(do Majora.)

Zmiłuj-że się — ucywilizuj go Majorze,
bo się możesz narazić ludziom; nuż broń Boże,
utnie do kogo swoje: „zaraz proszę pana.“
A to figura wielka i dystyngowana,
jakiś ważny dygnitarz, choćby powiatowy,
jakiś grand lub lord polski, — ot rozbrat gotowy;
wnet powiedzą że Major człek źle wychowany,
prostaków ma w usłudze.

(Do służącego.)

Słuchaj! jasne Pany
ale to — same jasne Pany tu przyjadą.
Proszęż ciebie — miej rozum! Gdy przed dom zajadą
wyprostuj się jak świéca, — bądź na zawołanie,
a mów za każdem słowem wszystkim „jaśnie Panie!“

SŁUŻĄCY (drapiąc się w głowę.)

Jasny Pan zawsze lubi żartować.

KONRAD (dobywając nosigrosz.)

Masz za to
złotówkę, żeś mnie zrobił też arystokratą.

(Odwrócony.)

Więcej płacić nie warto! I ja jasnym Panem
dziś będę w towarzystwie tak dystyngowanem.

III.

Wchodzą: XIĄŻE, XIĘŻNA, HR. STABORSKI, HRABINA STABORSKA. *)

MAJOR (wstając.)

(do dam.)

Witam Panie. — Jak się masz Xiąże?

(podaje rękę XIĘCIU i HRABIEMU.)

Siadają wszyscy w półkole. HRABIA na brzegu — kręci ciągle młynka palcami z głupkowatą miną lecz nadętą.

XIĄŻE (do MAJORA, biorąc gazety.)

Cóż Majorze —
wyczytałeś w gazetach?

MAJOR.

Wojna!

HRABINA.

O, mój Boże!

MAJOR.

Wszędzie niepokój, spory.

XIĘŻNA (lornetując.)

Co w Paryżu słychać?

MAJOR.

Kluby.

---

*) Hrabina ubrana jak dewotka, z rożańcem w ręku. Xiąże powinien mieć powierzchowność ujmującą i ruchy człowieka należącego do dobrego towarzystwa, twarz śniadą z czarnemi włosami, albo fizjonomję mongolską. Hrabia — pękaty, łysy.

HRABINA (z oburzeniem.)

Próżniaki co się boją z głodu zdychać,
zrobili teatr wojny z tej pięknej stolicy.
Z kimże spory? — Czy zawsze z tem błotem z ulicy,
z tym motłochem — noblessa?

MAJOR.

Rząd z rzemieślnikami.

HRABINA.

Kanalja wszędzie górę bierze już nad nami.

KONRAD (przerywając ironicznie.)

Co to kanalja? — Pozwól Pani się zapytać?

HRABINA (złośliwie.)

Kanalja? — Co gotowa zawsze za broń chwytać.
Parwenjusze, obmierzły lud, głodna hołota,
ten burzan towarzystwa zrodzony wśród błota...
[ces bêtes maigres et affamées qui manquent toujours de pain,
et pour nous tourmenter hurlent sans cesse qu'ils ont faim;
ce fatras sans nom, sans coeur, sans foyer paternel.
qui est toujours capable de tappage éternel.]

KONRAD.

A! rozumiem. Więc głodu bogaci nie znają?

HRABINA (j. w.)

Chyba gdy na dowcipie pana poprzestają.

KONRAD.

Błahy pokarm. To prawda!

XIĄŻE (do Konrada uśmiechając się ironicznie.)

Widzisz bo mój drogi —
zarówno może zginąć bogacz jak ubogi,
jeśli diabeł do głupstw tam jakichś go namówi;
lecz Pani o tych tylko — o tych tylko mówi,
co żyją marzeniami. Komu w głowie świta,
kto brednie filozofów, lub poetów czyta,
kto wierzy ich teorjom, kto ich bredni słucha,
może ziemię gryźć z głodu, wśród rozkoszy ducha.

KONRAD.

A! (Oddala się w głąb teatru.)

XIĘŻNA (do hrabiny.)

To mu przyciął! Dobrze. Ma teraz za swoje.
Trafiła kosa... Z mężem trudno staczać boje!...
Język ma uszczypliwy, dowcip niesłychany.

HRABINA (do xiężny.)

Cha! cha! cha! Biedny Konrad! Patrz jaki zmieszany.

MAJOR (do hrabiego.)

A Pan Hrabia czy zawsze tak stroni od ludzi?

HRABINA (podchwytując.)

Moj mąż zawsze się w każdem towarzystwie nudzi.

(do męża.)

Mężu! Pan Major pyta.

HRABIA.

Ha!

HRABINA.

Pan Major pyta:
czyś zawsze tak samotny?

HRABIA.

Ja? — Zawsze — i kwita.

MAJOR.

Dla czegoż?

HRABIA.

Tak.

MAJOR.

Pan Hrabia towarzystw nie lubi.

HRABIA.

O, co nie, to nie!

HRABINA (do xiężny śmiejąc się).

Ciągle śpi. I tém się chlubi.

MAJOR.

To nie dobrze.

HRABIA.

Nie mam z kim żyć tu.

MAJOR.

A sąsiedzi?

HRABIA.

Parwenjusze i szlachta. Nie cierpię gawiedzi.

MAJOR (uśmiechając się).

Wszakżem ja także szlachcic.

HRABIA.

Hm! W Niesieckim pono,
Ostrowieckich malują z xiążęcą koroną.

MAJOR.

Tam nie ma wzmianki o mnie.

HRABIA (kłaniając się).

Szanuję zasługi.

(wśród tej rozmowy KONRAD który był w głębi teatru zbliżywszy się, oparł się na fotelu MAJORA.)

KONRAD (półgłosem).

Termin już nie daleko; a Hrabia ma długi.

(Wchodzi służący).

SŁUŻĄCY.

Proszę Pana. Jasny Pan Graf Prezes Drabiński
przyjechał i Jasny Pan Graf Edward Tężyński.

MAJOR (wstając do KONRADA).

Widzisz — cożeś narobił! Warjacie — warjacie!

IV.

(Wchodzi PREZES DRABIŃSKI otyły, z orderami*).

PREZES (obejmując MAJORA).

Kochanego Majora!

MAJOR (podając rękę DRABIŃSKIEMU).

Witam.

PREZES.

Jak się macie.

(przechodząc koło KONRADA, chciał z nim przywitać się, ale rzuciwszy okiem na towarzystwo, nie kłania mu się. Witają się XIĄŻE, XIĘŻNA z PREZESEM).

PREZES (z przymileniem).

A! szanowni sąsiedzi! (całuje poufale rękę XIĘZNY).
Moja Xiężno droga!
(obraca się do HRABINY).
Ach kochana Hrabino! (ściska ją za rękę).
(do HRABIEGO) Staś! (do XIĘCIA) Janusz! (ściskają się)
na Boga!
na mój honor! milszego towarzystwa w świecie,
w Paryżu, w Petersburgu, w Wiedniu nie znajdziecie.
Jakże to miło, żeśmy się tu zbiegli wszyscy!
Bo prawdę powiedziawszy, choć sąsiedzi bliscy,
tak się rzadko widujem.

XIĘŻNA (przysuwając fotel).

Niechże Prezes siada.

*) Powierzchowność i ruchy Prezesa oznaczają człowieka oswojonego z najwyższem towarzystwem.

PREZES (siada).

Dziękuję droga Xiężno!

(postrzegając za sobą KONRADA, wyciąga rękę zimno, nie wstając).

A! Pana Konrada! —

Tylko co bardzo ważne odebrałem listy....

KONRAD.

To pewno z trybunału od protokolisty?

Czy w sprawach politycznych?

PREZES.

..... od Ambassadora —

KONRAD.

A co!

PREZES.

...jeden (szuka w kieszeniach) i razem trzy od Senatora.

KONRAD.

Senator zawsze razem po trzy listy pisze?

PREZES.

Tak; — ten poczciwy Oleś; tęskni za mną słyszę,
że list za listem goni, na Boga mię prosi:
żebym kiedy przyjechał znów do jego Zosi.

(dobywszy listy przegląda je).

KONRAD.

Któż to Oleś?

PREZES.

Ardeli. Mój przyjaciel szczery
i — razem urzędowéj kolega karjery.

KONRAD.

A Zosia — którą Prezes tak czule wspomina?
Oho, ho! — piękna téż to musi być dziewczyna,
słodka i od natury hojnie obdarzona,
kiedy tak Pana nęci.

PREZES.

Gdzież tam! Jego żona.

KONRAD.

O! tém gorzéj — tém gorzéj! A czyż to się godzi,
że pan Prezes tak śmiało cudze żony zwodzi?

PREZES.

Ależ ona ma syna w moim wieku prawie.

KONRAD.

To — Zosia!

PREZES.

A mnie tylko przyjmuje łaskawie.

KONRAD.

Cha-cha-cha! To ma syna prawie w wieku Pana?!...
A wieleż ma lat pańska Zosia ukochana?

MAJOR (do KONRADA).

Ach! jużeś się rozpaplał. (KONRAD odchodzi).

V.

PREZES.

Jak źle wychowany.

MAJOR.

Przebaczcie mu. On zawsze nieco roztrzepany.
Wszak go od dawna znacie. A chłopak poczciwy.
Literat! — więc być musi trochę uszczypliwy.
[Ale dobre ma serce; a choć się rozgada,
choć go czasem do wierszów manija napada,
choć coś i z filozofji, jak z gorączki bredzi,
nie dla kształtu ta głowa na karku mu siedzi.]

XIĄŻE.

Tak... Zapewne... Młodzieniec zacny i uczony.
Wszakże mnie wszystko winien. Byłem tak szalony:
żem na nauczyciela jagnięciu dał wilka.
I jego zasadami przejęta Matylka.

XIĘŻNA.

Nie słuchałeś mnie mężu, więc pokutuj teraz.

XIĄŻE.

Ach! gorżko błąd wdzięczności opłakuję nieraz.
[Bo Konrad w barbarzyńskiéj swych pojęć dążności
do jakiéjś wymarzonéj przez głupców równości,
bez czci dla imion, zasług, fortuny, urzędu,
chce wszystko zniwelować bez żadnego względu.]

(powstając w uniesieniu)

To plaga społeczeństwa — tych półgłówków zgraja,
co tak zgubne zasady demokracji wpaja
w najzdolniejsze — niestety! — umysły młodzieży;
i już.... już.... w naszéj klasie tę zarazę szerzy.

PREZES.

Może się trochę przejdziem. Wszakże dzień prześliczny.
Tu przynajmniej choć ogród arystokratyczny.

(Podawszy ręce sobie odchodzą).

Zasłona spada.

Koniec aktu pierwszego.

AKT DRUGI.

Salon w domu Majora. Po prawej stronie widzów stół wielki, na którym lody w miseczkach. Z brzegu na fotelu Hrabina. Przy niej krzesło. Za nią Xiężna robi kwiaty sztuczne. Pośrodku Major, Konrad. Po lewej stronie stolik, przy którym Prezes, Hrabia grają w szachy, obróceni do widzów. Koło nich Xiąże z cygarem.

Wchodzi TĘŻYŃSKI z przesadą ubrany, z ogromnym złotym łańcuszkiem od zegarka. Na szyi lornetka. MAJOR zbliża się ku niemu, wychodząc na środek pokoju.

I.

EDWARD (do Majora.)

Przepraszam, żem się spóźnił. Przebrać się musiałem.
Na zaprosiny twoje jak warjat leciałem.
Szósty koń zdechł mi w drodze. Dalej wszystkie konie
zajeżdzę w mych podróżach, tak latam, tak gonię.—

(przychodząc do dam.)

Bien bon jour. (Hrabina podaje mu rękę do uścisnienia, Xiężna z niechęcią odwraca się.)

(do Xięcia.)

Zdrowie Xięcia? (Xiąże kiwa głową.)

XIĘŻNA (do Hrabiny.)

Hm! Jaki troskliwy!

EDWARD (zawsze z żywością.)
(do Hrabiego, całując go.)

Jak się masz drogi hrabio! (Hrabia obciera się chustką.)
ach! Jakżem szczęśliwy,
że tak miłe zebranie zastaję tu razem.

(Wita się z Prezesem i Konradem.)
(do Majora.)

Każde twoje żądanie dla mnie jest rozkazem.
Wezwałeś mię na wieczór; do usług się stawię.
Lecz przebacz, że nie długo u ciebie zabawię
i w prędce cię pożegnam, kochany Majorze.
Ledwo mię nie rozerwą — na honor.

XIĘŻNA (do Hrabiny z ironją.)

Mój Boże!

EDWARD (obrócony do wszystkich mówi do mężczyzn.)

Ten prosi na herbatę, a tamten na łowy.
Tu kwartet, tam znów jakiś spacer sielankowy.
Ten mię wzywa na karty, tamten na wieczerzę,
słowem tyle zajęcia, że przyznam się szczerze,
czasu mi nie wystarcza.

MAJOR

Nie zazdroszczę wcale
tylu uciech.

EDWARD.

Bawię się przytem doskonale.
Czyż chcesz, drogi Majorze, bym podobny tobie,

tak się w domu zakopał samotny jak w grobie?
i tak znudniał, ztetryczał?!... (ściska go.)

MAJOR.

Lecz ja się nie nudzę.

XIĄŻE (z przekąsem.)

Major woli dom własny, niźli kąty cudze.

(XIĘŻNA trąca Hrabinę, która niezadowolenia znaki okazuje.)

XIĘŻNA.

Wesoło Pan się bawisz. Cha-cha!

EDWARD.

Wierz mi Pani,
Nic milszego nad takie życie na *kampani.*

XIĘŻNA.

W towarzystwie z słowikiem co ci w uszach wierci.

HRABINA (z westchnieniem.)

Ach, życie na wsi, to prawdziwy obraz śmierci.

MAJOR.

To nie bardzo nam schlebia.

XIĘŻNA (ściskając rękę Majora.)

Ach! mais mon bon ami,
Czemuż się nie chcesz liczyć między excepcjami.
Wszak są ludzie i na wsi. —

HRABINA.

Wszędzie znajdziem złoto,
nawet tam gdzie rozlane społeczeństwa błoto.

KONRAD (ironicznie.)

Złota wiele! Wszak mamy tak miłych sąsiadów,
Baron Krug, Hrabia Drozd.....

HRABIA (szyderczo śmiejąc się.)

Drozd? — Hrabia? —

KONRAD (j. w.)

O! z naddziadów.

HRABINA.

Cha, cha, cha! To coś pachnie hrabstwem galicyjskiem
lub poznańskiem.

MAJOR.

Dziad jego osiadł w Kołomyjskiem.
A ojciec został hrabią.

KONRAD.

W Ems czy też w Wiesbaden.
Bo wiadomo: z nad Renu nie powraca żaden
szlachcic polski, straciwszy pieniądze, do domu,
nie wziąwszy od kelnerów hrabskiego dyplomu.

PREZES (grając z Hrabią w szachy.)

Szach królowi! (obraca się do towarzystwa.)

Zupełnie tak gra stała, kiedym raz w stolicy
grał z feldmarszałkiem. Tutaj, w całej okolicy
niktby mu nie wyrównał. Ou! grał z djabłami.

(Wstaje i zbliża się do dam.)

O czemże państwo mówią?

EDWARD.

Kłócę się z paniami.
Niech mi Prezes pomaga. Dowodzą mi panie,
że na wsi nie ma życia.

PREZES.

To trudne zadanie.
Jednak przyznam się państwu; wiele miast zwiedziłem,
Rzym, Drezno, München, Paryż, i w Londynie byłem,
lecz wszędzie się nudziłem okropnie, straszliwie.
Dopiero kiedym na wieś powrócił szczęśliwie,
odetchnąłem swobodniej; bo powiedźcież, proszę,
co robić za granicą? — Ja zgiełku nie znoszę;
a w tłumie człek się jakoś zaciera i niknie,
nim porobi znajomych i do nich przywyknie.
W stolicy mieszkać lubię. No! to co innego;
tam z każdym prawie krokiem spotkam znajomego.
To kolega, ten krewny, senator, hofmeister,
arcybiskup, admirał, minister, sztalmeister.
A jacy dobrzy ludzie! ach jacy, aż miło.
W stolicy nigdy życie mi się nie sprzykrzyło.

Lecz czas było odpocząć i po trudach tylu,
spokojnie osiąść na wsi w moim Złotowilu.

KONRAD.

I pewno w swoich dobrach mieszkałbyś jak w raju,
gdybyś zdrowia nie stracił na usługi kraju,
w tyloletnim urzędzie, czcigodny Prezesie.

(Po chwili.)

Cóż robić? Ta myśl czasem pociechę przyniesie
żeś jako dyplomata cierpiał dla ojczyzny,
choć ci praca stargała zdrowie, a nie blizny.

HRABINA.

[Dla nas na wsi doprawdy tak resursów mało
że można umrzeć z nudów. Za zabawę całą
gaik, łąki, strumyczek, dla rozrywki mamy.
Rozkosz to dla pasterki, ale nie dla damy.

KONRAD.

Czemuż Pani w swej łasce do tyla się zniża
że mieszka z nami, zamiast jechać do Paryża.

HRABINA (zakłopotana.)

Afery mego męża....

KONRAD.

Ach, to te afery!
Jest to droga zapłata za ton i manjery
sprowadzone z Paryża. Stamtąd i afery,

ale za to też ztamtąd, dobry ton, manjery.
A choć dziury w kieszeni, chociaż klną dłużnicy,
choć włościanie pracują w pocie i krwawicy,
gdy się zarwie grosz w banku, kiedy bieda minie,
miło jakoś odetchnąć w Dreźnie lub Berlinie.

HRABINA (urażona.)

Zawsze jeden i jeden odkiedy znam Pana.
A mam przyjemność być mu od dzieciństwa znana.
Wiecznie mi Pan......

MAJOR.

E! Niechże Państwo się nie kłócą
i na inny już przedmiot rozmowę tę zwrócą.

(śmiejąc się.)

To wojna do zdybania, zacięta i krwawa.

KONRAD.

Słówko! Za pozwoleniem Pana Władysława.
Pani mi powiedziałaś, że prócz łąk, gaików,
nie ma tu innych zabaw dla nas śmiertelników.
Czyżto wszystkie już życia naszego są cele
nieustanne zabawy i ciągłe wesele? —
Czy tych którymi Pani samowładnie rządzisz,
wszystkich już, bez wyjątku szczęśliwymi sądzisz?
Czy nie masz wdów, lub sierót, chorego, kaleki,
któryby twojej, Pani, zażądał opieki? —
czy kmiotkom sprawiedliwość zawsze wymierzona? —
Czy czuwa nad tem władza Pani powierzona? —

HRABINA.

Pozwól — że ci na wzajem zrobię zapytanie:
Czy do klasztoru czujesz czasem powołanie?
Czy cię nie bierze chętka prawić na ambonie,
to samo co nam zawsze rozprawiasz w salonie?

(Śmieją się.)

XIĄŻE (wstając — do KONRADA.)

Złóż broń. Siedź cicho bracie! jesteś zwyciężony.
Ach, jakie bo też wiecznie prawisz nam androny!

(śmiech.)

(Serjo.) Sam-że przyznaj Konradzie, że mimo nauki,
niestworzone nam jakieś pleciesz baneluki.

XIĘŻNA (wesoło.)

Pauvre Conrad! — oskoczony —

XIĄŻE.

Cóż nasz kaznodziejo!
Patrzaj, aż mi żal ciebie; tak się wszyscy śmieją.
Ha! Trzech nie umie zliczyć. Et bien! mon cher ami!
Czy jeszcze nam wystąpisz z twoimi kmiotkami?
He? cha, cha, cha! cóż? milczysz?

KONRAD.

Dziwię się....

XIĄŻE.

No! Czemu? —

KONRAD.

Dziwię się....

XIĄŻE.

Dalej! Śmiało! — Mówże po swojemu.

KONRAD.

Dajcież mi mówić.

XIĄŻE.

Płączesz. No! gadajże przecie.

KONRAD.

że Państwu tak wesoło i dobrze na świecie.

XIĄŻE.

Tyle tylko?!....

KONRAD.

Tyle.

XIĄŻE.

No! niechże i tak będzie.
Ale zgodź się, że jesteś w opłakanym błędzie
z tym swoim entuzjazmem.

KONRAD. (odwracając się, półgłosem.)

A! to groch o ścianę.
(Głośno.) Wolę milczeć, lecz pozwól że w błędzie zostanę.]

(Odchodzi.)

Słychać dalekie klaskanie z bata i dzwonki. — Major wygląda przez okno. — Tężyński siada koło Hrabiny i szepcze z nią.

II.

PREZES (do xięcia.)

Ta drobna szlachta nasza jest zawsze zuchwałą.
A każdy taki pewny, tak rozprawia śmiało,
nie szanuje urzędu ni zasług dla kraju,
i szyderstwo jest u nich jakby we zwyczaju.

Słychać turkot powozu. — Prezes zwraca na to uwagę Majora.

Otóż masz nowych gości, Majorze, nareszcie.
Jakie liczne zebranie! na honor — jak w mieście.

(Odchodzi z Majorem.)

III.

Xiąże siada po lewej stronie, bierze gazetę i czyta. — Tężyński zbliża się do xięcia, który mu od niechcenia odpowiada, patrząc w gazetę.

EDWARD (do Xięcia.)

A Xiężniczka Matylda?...

XIĄŻE (surowo.)

Co? —

EDWARD (zmieszany.)

nie przyjechała?

XIĄŻE (z półuśmiechem pokazując obiema rękami.)

Nie ma jej tu.

EDWARD.

Tak, nie ma; więc w domu została?

XIĄŻE.

Zdaje się. —

EDWARD.

Czy nie chora?

XIĄŻE.

Chora.

EDWARD (z troskliwością.)

Boże! Chora?!...
Panna Matylda? — Cóż to? — Może po doktora?
Natychmiast go przywiozę, gdy Xiąże pozwoli.

XIĄŻE.

Dziękuję — nic ważnego. Trochę głowa boli.
Lecz ból długo nie potrwa.

EDWARD (z przymileniem.)

Tak, nie potrwa długo.
Żałuję że nie mogę pospieszyć z usługą.
Możeby się poradzić!...

XIĄŻE (z ironicznym uśmiechem.)

Jakto! Pan żałuje
że moja córka szczerze się nie rozchoruje?

EDWARD.

Panna Matylda! Boże! Ach! Xiąże! Czyż można?...

XIĘŻNA (do hrabiny, parskając smiechem.)

Czy słyszysz ma chère?

HRABINA (z gniewem.)

Ach, bądźże ostrożna.

EDWARD (po chwili.)

Xiąże nie grywa w szachy?

XIĄŻE.

Nie. Ta gra mię nudzi.
Wolę warcaby.

EDWARD (z miną pochlebną.)

Tak. To więcej życia budzi.

(Po chwili.)

W samej rzeczy. Gra w szachy nie jest zajmująca.

XIĄŻE (z uśmiechem.)

Nie tyle co warcaby.

EDWARD (po chwili.)

Okropne gorąca
mamy ciągle.

XIĄŻE.

Przeciwnie.

EDWARD (zakłopotany.)

Tak. Wieczory chłodne.
Często deszcz.

XIĄŻE.

Od miesiąca ciągle dni pogodne.

EDWARD (kręcąc się na krześle.)

Zapewne; lecz kalendarz zmianę przepowiada.

XIĄŻE.

Brednie prawi. (Czyta ciągle.)

XIĘŻNA (do hrabiny.)

Adonis — o pogodzie gada. —

Otwierają się drzwi wprost przeciw widzów. W drugiej sali w głębi zjawia się Mrozowicz, Mrozowiczowa, która strzepuje pył, poprawia kwiaty na głowie i okręca się pąsowym szalem tyftykowym. Za nimi stoją Major, Konrad; Tężyński obcierając się chustką wychodzi ku nim — wita się — i pomaga pani Mrozowiczowej okręcać się szalem. —

IV.

XIĘŻNA (do hrabiny.)
(Patrzy przez lornetkę.)

Patrz na tego drągala.

HRABINA (z gniewem.)

Na kogoż?

XIĘŻNA.

A tego...
Pieczeniarza.

HRABINA (podobnież.)

Ktoż taki?..

XIĘŻNA.

Ach — tego miłego
trzpiotka, który jak piorun spadł tu od półroku;
wszędzie lata jak wicher, i na każdym kroku
zawsze go spotkasz. Co za figura zabawna!

HRABINA (urażona.)

Czy mówisz o Edwardzie? Ja go znam oddawna.
Moja Xiężno, Tężyński przeznaczeń koleją,
w oczach tych nawet, co się dzisiaj z niego śmieją,
wzniesie się na wysoki szczebel społeczeństwa.
Ma milljony a te mu nie ujmą pierwszeństwa
w towarzystwie. —

XIĘŻNA.

Milljony? chyba na księżycu.
Skąd?

HRABINA (tonem pewności.)

Sukcessja po ojcu, po kasztelanicu.

XIĘŻNA (śmiejąc się.)

Co? co? co? kasztelanic Tężyński? o Nieba!
A to mu już do szczęscia nic więcej nie trzeba.

HRABINA (spokojnie.)

Tak. — Sukcessja po ojcu. Milljony.

XIĘŻNA (j. w.)

Ach, droga!....

HRABINA.

Ja nie żartuję.

XIĘŻNA.

Cha — cha!

HRABINA.

Ach, na miłość Boga!
Nie śmiejże się tak Xiężno. Już wszyscy tak blisko.

XIĘŻNA.

Tężyński milljonerem! Ha! Dziwne zjawisko!

V.

Zbliżają się: MROZOWICZ, MROZOWICZOWA. Za nimi później wchodzą: PREZES, TĘŻYŃSKI, MAJOR, KONRAD.

Pani Mrozowiczowa wchodzi naprzód — Xiąże bardzo układnie kłania się jej i ściska obie ręce. Ceremonje między mężczyznami przy siadaniu, Xiąże z przesadzoną grzecznością wita się z Mrozowiczem. Kłaniają się wszyscy, Pani Mrozowiczowa zbliża się najpierwej do Xiężny, całuje ją poufale, potem dyga. Xiężna obciera twarz chustką. Toż samo przywitanie z Hrabiną. Xiężna i Hrabina z największą grzecznością szukają miejsca dla Pani Mrozowiczowej, jedna przysuwa jej fotel, druga podaje kanwową poduszkę. Xiąże szuka krzesła dla Mrozowicza. Hrabia nie ma gdzie usiąść, kręci się popychany od jednej osoby do drugiej. Nakoniec siadają wszyscy w nieporządku. *)

MROZOWICZ (plecami do Hrabiny.)
(spostrzegłszy się.)

Ach! Przepraszam Hrabinę. (wstając ściąga szal z żony.)
(do żony.)
Przepraszam Cię duszko.

XIĘŻNA (do Mrozowiczowej.)
(podając jej drugą poduszkę kanwową.)

Może Pani wygodniej będzie z tą poduszką?

(Pani Mrozowiczowa zakłopotana tylu grzecznościami, schylając się po szal, uderza Xięcia w nos ogromnemi kwiatami od czepeczka.)

---

*) Mrozowicz smiesznie ubrany, powinien mieć minę zpanoszonego dorobkiewicza, niby kolonista niemiecki, albo wychrzta; może być rudym. Wyraz twarzy przebiegły, chytry. Śmiały do bezczelności a umiejący się płaszczyć.

XIĄŻE (z największą grzecznością.)

Pardon Madame! (Znów ściska jej ręce;)

(robi poruszenie i posuwa Hrabiego, który niezgrabnie siada przed żoną.)

HRABINA (z nadąsaniem.)

Mężu, nie widzę nic przez ciebie.

Hrabia cofa się gwałtownie, popychając plecami stojącego za nim Xięcia. Xiąże nie mając przejścia, przyduszony przez Hrabiego podtrzymując się aby nie upaść, potrąca panią Mrozowiczowę i przepraszając podaje jej obie ręce. W tej chwili Mrozowicz rzuca ogniste spojrzenie na Xięcia i ściska silnie rękę Tężyńskiego. — Gdy się to dzieje, Hrabina, która dotąd siedziała obok Xiężny, wstaje, bierze za rękę Panią Mrozowiczowę.

Proszę tu — o tu; będziem siedzieć obok siebie.

(Xiężna usuwa się. Mrozowiczowa siada między Hrabiną a Xiężną, mile uśmiechając się.)

MROZOWICZOWA.

Merci. Dziękuję Pani. Pani tak łaskawa...
Prawdziwie.... Proszę Xiężny....

(Xiężna figlarnie wachlarzem trąca Hrabinę po za plecami pani Mrozowiczowej; po chwili milczenia.)

MROZOWICZOWA (strzepując pył z szala tyftykowego.)

Taka kurzawa,
że ja choć w karecie — cała pyłem przykryta.

XIĘŻNA.

A! widziałam karétę, prześliczna karéta.

HRABINA.

O! śliczna, bardzo piękna.

MROZOWICZOWA (z uśmiechem wdzięczności.)

Hm! każdy ją chwali.

XIĘŻNA.

Bardzo dystyngowana; gdzie państwo dostali.

HRABINA (nie czekając odpowiedzi.)

Co to za piękny tyftyk! Gdzie Pani kupiła?

XIĘŻNA.

Przepyszny.

MROZOWICZOWA.

Hm! niebrzydki! Trochem go znosiła.
Bo ja bardzo tyftyki lubię; ustawicznie
w nich chodzę.

HRABINA.

Pani zawsze ubiera się ślicznie.

MROZOWICZOWA.

Prawdziwie...

XIĘŻNA.

Z wielkim gustem.

MROZOWICZOWA.

Pani tak łaskawa....
Zawsze mi mód i strojów dostarcza Warszawa.

XIĘŻNA.

Jaki to ładny bukiet!

HRABINA.

Cudowna piwonja.

MROZOWICZOWA.

Nie; to się po warszawsku nazywa paeonia.

HRABINA.

Ah — ah! to co innego. A dziateczki Pani?
Franusia zawsze miła?

MROZOWICZOWA.

Moja córka Fani.

HRABINA.

Ach, tak — tak! zapomniałam. Piękne imię Fani.
To także po warszawsku?

MROZOWICZOWA.

Już przyjęłam dla niej
guwernantkę szwajcarkę.

MROZOWICZ (odciągając na stronę Edwarda.)

Bezczelnie! zuchwale!
Wobec wszystkich! Widziałeś?

EDWARD.

Co?

MROZOWICZ.

Nic?

EDWARD.

Nic.

MROZOWICZ.

Nic wcale?
Jak moją żonę witał ten łotr, dumny panek.

EDWARD.

Z wielką grzecznością.

MROZOWICZ (w złości)

Ha!.. tak!... Wiem ja!... Jak kochanek!
A! Dość już cierpliwości!... Ten zbrodniarz, ten złodziej!...

XIĘŻNA (do Mrozowicza.)

Cóż szanowny Doktorze? Pan Doktor Dobrodziej...
Zawsze pilny gospodarz?... Pszeniczka w tym roku....

MROZOWICZ (roztargniony.)

Pszenica? Tak. Zrodziła. (Patrzy na Xięcia.)

XIĘŻNA.

Tak?

HRABINA.

Mnóstwo stert w toku?
Gospodarz postępowy!...

MROZOWICZ.

Radzę sobie w biédzie.

XIĘŻNA.

Panu Mrozowiczowi gospodarstwo idzie.

HRABINA.

To nie dziw. Pan Mrozowicz gospodarz jak mało.

(Mrozowicz kłania się.)

XIĘŻNA.

Pan nie zna tego słowa: „coś się nie udało.“
Nieprawdaż? Wszystko idzie jak z płatka u niego.

MROZOWICZ (kłania się.)

O, Pani!

XIĘŻNA.

Trza osobny mieć talent do tego.

HRABINA.

Niech mi Pan powie — proszę Pana Mrozowicza...
Wszak i mnie Pan do rzędu gospodyń zalicza —
Muszę się wszystkiem trudnić, bo mój mąż nie lubi
gospodarstwa i nawet często się tem chlubi.

HRABIA (zawsze kręcąc młynka palcami.)

O, co nie, to nie.

HRABINA.

Proszę — jaka tajemnica,
że u pana co roku najlepsza pszenica?
Pan Mrozowicz ma sekret wyłączny.

MROZOWICZ.

Nie — wcale.
Sekret ten zna ekonom każdy doskonale.

Trzeba spieszyć z pomocą tym którzy są w nędzy,
potem....

KONRAD (przerywając.)

potem pracę sto za sto brać zamiast pieniędzy.

MROZOWICZOWA.

To nie chybi. Mój Piotruś musi ustawicznie,
porać się z nimi.

MROZOWICZ (roztargniony patrząc na Xięcia.)

O, tak!

XIĘŻNA (ironicznie.)

Dla tego tak ślicznie
u Pana Mrozowicza pszeniczka się rodzi.
Dla tego się tak Państwu we wszystkiem powodzi.
Więc to jest cały sekret? Teraz się nie dziwię
ich szczęściu.

MROZOWICZOWA.

Xiężna taka łaskawa.... prawdziwie....
że się interesuje nami ustawicznie.

KONRAD (do Majora.)

Daj-że już im herbatę kiedy tak logicznie
sprężynę Ekonomji politycznej zgadli,
by znów na jaki traktat uczony nie wpadli.

Służący wchodzi.

Herbata gotowa.

MAJOR (wstając, podaje rękę Xiężnie.)

Służę Pani. Przejdziemy do przyległej sali.

Xiąże podaje rękę Mrozowiczowej.

PREZES (podając rękę Hrabinie.)

Szkoda że nam nie w porę rozmowę przerwali!
Właśnie, chciałem powiedzieć, gdym zwiedzał stolicę,
sam mi minister skarbu odkrył tajemnicę
powiększenia dochodów. (Głos jego ginie w głębi.)

Hrabia prowadzi pod rękę Tężyńskiego.

KONRAD (do Mrozowicza.)

U Państwa, jak widzę,
rolnictwo postępowe.

MROZOWICZ (patrząc ciągle na Xięcia.)

O! ja nienawidzę
nieporządku.

Wszyscy oddalają się.

VI.

Naprzeciw srodkowych drzwi, w głębi teatru widać salę oświeconą. Po środku stół. Na nim naczynie do herbaty. Siadają na około stolu. Z bocznych drzwi nowi przybywają goście przechodząc przez bawialnię. Na progu wita ich Major i prowadzi do jadalnej sali. Gdy większa część towarzystwa usiadla koło stołu, wpada Mrozowicz na przód sceny, gwałtem ciągnąc za sobą Tężyńskiego. —

MROZOWICZ.

Ha! słuchaj! słuchaj — ledwie żyję.
Ja mu w łeb strzelę, ja go zduszę, ja go zbiję.
Widziałeś?

EDWARD (niecierpliwie.)

Co?

MROZOWICZ.

A tego tam arystokratę. (biega poruszony.)
O, ja mu zaraz tęgą sprawię tarapatę.
Wszak widziałeś.

EDWARD.

Co? Kogo?

MROZOWICZ.

Oh! tego przybysza!
Tatara czy Kirgiza, tego Tochtamysza.
Xiążątko!.. pasło tabun za Wołgą czy w Krymie.
A tu mu polska duma dała polskie imię.

EDWARD (wzruszając ramionami.)

Cóż znowu! Co ci? Mówże, co się stało? Kiedy?
Piotrze! chcesz już do jakiejś zaciągnąć mnie biedy?

MROZOWICZ (chodząc szybko.)

Ha! ten ar—ry—sto—kra—ta! a! hultaj—ladaco
Bądź moim sekundantem. —

EDWARD.

Ależ z kim i za co?

MROZOWICZ.

Z Xięciem.
On w mojej żonie kocha się wyraźnie.
Dawno już podejrzywam.... Ja mu sprawię łaźnię.

EDWARD.

Zmiłuj się!

MROZOWICZ.

Teraz widzę.

EDWARD.

A ja ci powiadam.....

MROZOWICZ (zamyślony.)

Dostrzegłem.... Zastrzelę go. To ci zapowiadam.

EDWARD.

Ależ Piotrze.

MROZOWICZ (j. w.)

Rozumiem.... O jego zuchwałem
uczuciu dziś dopiero, dziś się przekonałem.
Te spojrzenia... ten uśmiech... ta grzeczność zbyteczna.
O, mój panie!.. Lecz ze mną sprawa niebezpieczna.
A ten list bezimienny wszystko mi tłumaczy.

(Okazuje list.)

EDWARD.

Zastanów się! Wszak żonę pogrążysz w rozpaczy.
Ona o niczem nie wie.

MROZOWICZ.

Już też żonie wierzę.
Ale xięciu na grzbiecie policzę pacierze.
Albo w łeb kulą.

EDWARD.

Zatem szukasz awantury?

MROZOWICZ.

Ho — ho! Trzeba nauczyć. A! łotry! a! gbury!
Ta pańska poufałość... Ja tego nie znoszę.

EDWARD (chce odejść.)

Później pomówim o tem. Zostawże mnie, proszę.

MROZOWICZ.

Co? — później? Jednej chwili nie mam do stracenia.

EDWARD.

Cóż pilnego?

MROZOWICZ.

Czy chcesz mieć ze mną do czynienia?
Ja mój honor szanuję.

EDWARD (łagodnie.)

Piotrusiu kochany!
Rozważże trochę. Strasznieś gorąco kąpany.
Chcesz zakłócić przyjemność miłego wieczora,
i tego poczciwego zasmucić majora.
Zastanów się: co na to powiedzą sąsiedzi?

MROZOWICZ.

E! To arystokrata. Na dwóch stołkach siedzi.
I z panami i z szlachtą. Mniejsza tam o niego.

EDWARD.

To mniejsza; ale powiedz, cóż ci tak pilnego?

MROZOWICZ.

Dość miałem cierpliwości, gdy przez wzgląd na damy—
milczałem.

EDWARD.

Słuchaj Piotrze. Szczerze pogadamy.
Żądasz mojej usługi — Odmówić nie mogę.

(Mrozowicz ściska go.)

EDWARD (dalej mówi.)

Lecz zważże na jak przykrą wprowadzasz mię drogę.
Tylko słuchaj! Otwarcie przed tobą się zwierzam.
Wiesz że kocham Matyldę i wprędce zamierzam
rodziców o jej rękę prosić.

MROZOWICZ (uradowany.)

(Uderzając się w czoło.) A! Toć właśnie
zabłysło tobie szczęście. Chwytaj je nim zgaśnie.
Podasz srogie warunki i temi środkami
wymożesz na nim słowo. — O! tak, tak z panami!
Matylda będzie twoją, lub ja w łeb mu strzelę.
Tym sposobem nie będzie ceremonji wiele.
A ty mi.... (całuje go.)

EDWARD.

To okropne! Nie! To być nie może!

MROZOWICZ.

Ot! jaki romansowy!... Poeta!... mój Boże!...
Czy nie boisz się czasem opinji gawiedzi?...
Może zmówisz paciorek?.. pójdziesz do spowiedzi?

Założysz rączki na krzyż?... Sumienie cię ruszy?...
Cha, cha, cha! Może wierzysz w nieśmiertelność duszy? —
W niebo, w piekło lub w czyściec i w podobne strachy,
któremi dzieci swoje jeszcze straszą Lachy?...

EDWARD (oburzony.)

Bezbożny filozofie! Słuchaj. Jak chcesz sobie.
To zdrada — podstęp — podłość. Ja tego nie zrobię.

MROZOWICZ.

Przestań prawić morały. W posagu milljony;
Matylda twoją. —

EDWARD (zamyśla się.)

A twój honor ocalony?

MROZOWICZ (czule.)

Twe szczęście może nawet zmyć obrazę moją.

EDWARD (surowo patrząc mu w oczy.)

A ty, cóż na tém zyskasz?

MROZOWICZ (podaje rękę Tężyńskiemu, który się cofa i chowa swoją rękę.)

Zyskam przyjaźń twoją.

EDWARD (z pogardą.)

Straciłeś ją w tej chwili.

MROZOWICZ (popędliwie.)

Ha! masz do wyboru:
Strzelaj się ze mną, albo broń mego honoru.

EDWARD (dumnie podnosząc głowę.)

Chcesz mię straszyć. Dość tego. O! wybór nie trudny.
Jeślim się brukał, jeszczem nie zupełnie brudny.
Potrafię zrzec się wszystkich najdroższych mych marzeń,
zrzec się Matyldy, ale moich wyobrażeń
dla miłości nie zmienię. —

MROZOWICZ.

Matylda cię kocha; —
a ten dziki twój skrupuł, twoja duma płocha
w grób ją wpędzi. Z jej ojcem niema innej rady.
Popełnisz więc zabójstwo, gdy lękasz się zdrady.

EDWARD (z zapałem.)

Kocha mnie? — Ach! czy kocha?...

MROZOWICZ.

Mówię ci, szalenie!

EDWARD.

I mnie się także zdaje... Miałem podejrzenie.....

MROZOWICZ.

Ja nie wątpię. Tak mniemać mam pewne powody.
A nawet, jeśli zechcesz, przedstawię dowody.

EDWARD.

Szatanie!.. Co tu począć?... Gdybym miał wzajemność!

MROZOWICZ.

Ojca przymusisz strachem.

EDWARD (energicznie.)

Nie — nie, to nikczemność!

MROZOWICZ.

Tak — nikczemność: zabijać to nieszczęsne dziécię.
Fałszywy punkt honoru, gdy idzie o życie.

EDWARD.

Ale czy wielka miłość plamy z życia zetrze?!

(Przechadza się zamyślony. — Po chwili:)

Później zaś pomówimy z sobą, Panie Pietrze!

(Chce odejść.)

MROZOWICZ (ściskając Tężyńskiego, który się uchyla.)

Dobrze, drogi Edwardzie — potem zrobisz ze mną
co chcesz, byle ma prośba nie była daremną. —

(Patrzy mu w oczy:)

Więc przyjmujesz? przyjmujesz? — Ach! jakżem ci
wdzięczny.
W twojém ręku mój honor. Wiem że jesteś zręczny.
Ty potrafisz dać sobie radę z tym cietrzewiem.

(Oddala się.)

EDWARD (półgłosem.)

Otom wlazł! Dobrze mi tak. Jak wybrnę? sam nie wiem.

(Siada przed stołem zamyślony.)

VII.

Intermezzo.

W przyległej sali, gdzie towarzystwo całe zebrane, słychać głośniejszą rozmowę. Gwar wzrasta. Nakoniec daje się słyszeć głos:

Na Posła w Radzie Państwa wszyscy jednogłośnie prosimy Xięcia Pana. — *)

GŁOSY.

Tak. Tak. — Jednogłośnie.
Jednogłośnie prosimy.

XIĄŻE (siedzący naprzeciw widzów wstaje i mówi głośno.)

Za zaszczyt dziękuję. —
Lecz Panowie przebaczą — że go nie przyjmuję,

(Gwar zwiększa się. — Tężyński i Mrozowicz idą do jadalnej sali.)

Wchodzi

WALENTY (prowadząc pod rękę Gaudentego.)

A co? czy nie mówiłem? Jemu wlazło w głowę
co innego.

GAUDENTY.

Eh! eh! eh! Sztuki wyborowe.

WALENTY.

Być Posłem w Radzie Państwa dla niego— to mało
Jeszcze się dąsa, jakby mu to ubliżało.

---

*) Albo: Na prezesa do Rady
albo: na Marszałka gubernji
albo: Na Marszałka powiatu.

GAUDENTY.

Ale czegoż już więcej może się spodziewać!?

WALENTY.

Albo ja wiem! Ha! jemu może się zachciewać
Senatorskiego krzesła, portfelu Ministra. —
Gardzi szlachtą

GAUDENTY (śmiejąc się.)

Co mówisz?!... Ministra?... Ministra?!..

WALENTY.

Ty nie znasz naszych Panów. Hm! Cóż w tem dziwnego?

GAUDENTY (po chwili namysłu.)

Wiesz co? panie Walenty. Prośmy Staborskiego.

WALENTY.

Ależ zmiłuj się! Głupi —

GAUDENTY.

Tem lepiej.

WALENTY.

— I dumny.

GAUDENTY.

A Xiąże Janusz byłby lepszym, że rozumny?

WALENTY.

Żona go za nos wodzi.

GAUDENTY.

I cóż stąd? — To żona
może kierować mężem — i sprawa skończona.
Będzie obiady dawać, z kuchnią doskonałą.
Jak cię kocham, to będzie poseł jakich mało.

WALENTY.

Po uszy w długach.

GAUDENTY.

Co tam! To szlachta popłaci.
Widzisz — jakoś — bo lepiej by arystokraci
stali na czele szlachty.

WALENTY.

Zapewne... Nie przeczę.

GAUDENTY.

Trzeba kończyć; — bo tak już narada się wlecze
zbyt długo. To mię nudzi. Co tam — byle prędzej!

WALENTY.

Ale cóż to za Poseł będzie bez pieniędzy?

GAUDENTY.

Niech sobie radzi jak chce.

WALENTY.

Wreszcie strasznie mały.

GAUDENTY.

Ale gruby, poważny. —

WALENTY.

I nie okazały.

GAUDENTY.

Owszem — łysy. E! dobry.

(Głośno obrócony do sali) Hrabiego prosimy. (Wraca od drzwi.)

GŁOSY Z SALI.

Hrabiego — jednogłośnie — prosimy — prosimy. —

HRABIA (wstaje — i mówi jąkając się.)

Moja żona zajęta. Dziękuję — nie mogę,
przepraszam — nie podołam — i nic nie pomogę.
Niech mię Państwo uwolnią.

GŁOSY.

O! za nic. Niech żyje!
Wiwat Hrabia Staborski. Niech żyje — niech żyje! —

(Walenty ciągnąc za sobą Gaudentego.)

WALENTY.

Słuchaj no! Cobyś na to rzekł — panie Gaudenty?...
Lecz tyś twardy... Nie zechcesz...

GAUDENTY.

Mów, panie Walenty.

WALENTY.

Widzisz... panie Gaudenty — przyszła mi myśl nowa—
Gdyby prosić Prezesa. Wszak to dobra głowa.

GAUDENTY.

Na co nam głowa?!...

WALENTY.

Zacny człowiek.

GAUDENTY.

I cóż z tego?
Najprzód wątpię o głowie — a potem zacnego,
na diabła nam obierać?

WALENTY.

Ma stosunki liczne, —
bardzo dystyngowane, arystokratyczne,
z pierwszemi figurami w kraju i w stolicy.
Właśnie tacy są tylko dobrzy urzędnicy.

GAUDENTY.

Ha! to prawda! E! mniejsza. Więc prośmy Prezesa.

WALENTY (idąc do sali.)

Prezesa Drabińskiego prosimy.

GŁOSY.

Prezesa!
Jednogłośnie prosimy.

GŁOS INNY Z SALI.

Za pozwoleniem!—Niechcę nikomu ubliżać—
Lecz dla czego Panowie chcą szlachtę poniżać?

GŁOSY.

Brawo! — Zuch! Tak to lubię. — Mówiący ma racją.
Każdy dobry! Tak, każdy. Precz z arystokracją.

GŁOS (z sali.)

Ja Pana Mrozowicza podaję na wota.
Górą szlachta! — Tak, górą!

XIĄŻE (ucieka zatykając uszy.)

Co to za hołota!

(Zasłona spada.)

Koniec aktu drugiego.

AKT TRZECI.

W domu xięcia.

Salon wspaniale i kosztownie umeblowany. Marmurowe posągi. Świeczniki złote i kryształowe, drobne sprzęciki zbytkowne, na stołach tu i owdzie porozstawiane. Wśród widzów drzwi wchodowe. Na lewo do pokojów xiężny i xięcia. Na prawo do pokojów Matyldy. Drugie drzwi szklanne do ogrodu. Dzień.

Z lewej strony wchodzi XIĘŻNA powolnym krokiem trzymając się za głowę. Naprzeciw niej HRABINA ze drzwi wchodowych.

I.

XIĘŻNA (słabym głosem.)

Ah! ma bonne chère Comtesse.

HRABINA (witając ją.)

Ma toute bonne Princesse.

Tyś chora moja droga?

XIĘŻNA (słaniając się.)

Siadaj — chère Comtesse.

Tu — koło mnie — o! tu, tu. (mieści Hrabinę koło siebie.)

HRABINA (z troskliwością nachylając się.)

Jakże twoje zdrowie —

Źle?

XIĘŻNA.

Ah! ah! I jak jeszcze. Niech ci za mnie powie
moja twarz. Patrz. Okropna. Całąm noc nie spała.
Dotąd mi w uszach szumi ta hałastra cała.

HRABINA (z złośliwym uśmiechem.)

Jakież-bo towarzystwo zebrało się wczora
w salonach poczciwego naszego majora.

XIĘŻNA.

Wstręt bierze że to co się „towarzystwem“ zowie
mieszać się z szubrawcami musi po połowie.
Spytajże ich o imię. Pstrymkiewicz, Szkatulski,
Brondziszewski, Szalejko, Kobza, Safandulski.
Takiemi nazwiskami zaraz cię obsypie
że, ma parole — nie kłamię — aż ci w uszach skrzypie.

HRABINA.

I to większa część dzisiaj towarzystw się składa
z takich, że ci już imię samo zapowiada
jakiej kto edukacji, zasad, urodzenia,
jakie jego zajęcie lub sposób myślenia.
[Chacun de ces bourgeois a quelque chose de repoussant.]

XIĘŻNA.

[Mais je crois bien comtesse — il sent mauvais —
il sent.
Chacun de ces manans sent l'étable à cent pas.
Son langage! c'est une horreur qu'on ne supporte pas.]

Doprawdy, że to trzeba umierać z rozpaczy,
jak ci zacznie dowodzić coś o swojej klaczy,
o swoim owsie, stogach, o swojej pszenicy,
o swoich chłopkach, bydle.....

HRABINA (z ironicznym uśmiechem.)

Ach! mili rolnicy!

XIĘŻNA.

I gdybyś z nimi nie wiem jak była ostrożna,
nigdy tym demokratom dogodzić nie można.
Wszystko czynię by na ich dowcipne potwarze
nie narażać się wcale; i co grzeczność każe,
co się z mem urodzeniem, z dobrym tonem godzi,
wypełniam — lecz napróżno — bo często ci młodzi
co to jakąś pretensję do rozumu mają,
że w Paryżu lub w Wiedniu garkuchnie zwiedzają,
jak tylko do wyższego salonu się wkręcą,
tak cię nudzą, że ci co dla nich się poświęcą,
przyjmując ich do domu, jak na szpilkach siedzą;
bo każde słowo ważą, każdy wzrok twój śledzą.
[Ils font une guerre ouverte, dès qu'ils son mal reçus,
parcequ'ils sont éxigeants à n'en pouvoir plus.]

HRABINA.

Biedny, poczciwy major, co też mu się zdaje,
że zyska popularność gdy z szlachtą przystaje?
[Z takim jak ma majątkiem, chociaż bez znaczenia,
bez świetnej kolligacyi, tytułów, imienia,

mógłby przecież dobrane towarzystwo zbierać,
i tak z parwenjuszami się nie poniewierać.]
Wczora prócz Tężyńskiego nikogo nie było
comme il faut.

XIĘŻNA.

Moja droga, co ci się nabiło
w głowę z twoim Tężyńskim.

HRABINA.

Ty go mało cenisz.
Jeśli go lepiej poznasz; zdanie swoje zmienisz.

XIĘŻNA.

Wszakże on od pół roku dość często tu bywa.
Może nadto.....

HRABINA.

Dziś będzie.

XIĘŻNA (ironicznie.)

Ach! jakżem szczęśliwa.

HRABINA.

Nie ciesz się nazbyt wcześnie.

XIĘŻNA.

Cóż znowu?

HRABINA.

Tyś chora,
lękam się by.....

XIĘŻNA.

Straszysz mię.

HRABINA.

Z zeszłego wieczora
nie miła wyszła sprawa.

XIĘŻNA (z przestrachem.)

Cóż to? ach mój Boże!

HRABINA.

Chcę ci wrażeń oszczędzić; zaszkodzić ci może.

XIĘŻNA.

Mów prędko, mów przez litość, mów na miłość Boga.

HRABINA.

Nie trwoż się, ma bonne amie.

XIĘŻNA (gwałtownie ciśnie ją za rękę.)

Ależ moja droga!

HRABINA.

Później opowiem wszystko; nic to tak ważnego.
Uspokój się. Bóg łaskaw... Wierz mi, nie ma czego,
tak bardzo tem się dręczyć; wiele jeszcze liczę
na jego zacność, rozum.

XIĘŻNA (z niecierpliwością.)

Jakieś tajemnicze
męczą mię niepokoje. Lecz o kimże mowa?
Zmiłuj się, mów Hrabino.

HRABINA.

Nie powiem ni słowa,
pokąd, ma chère, zupełnie się nie uspokoisz.
Nie wiedzieć czego drzysz tak i czego się boisz.
Ja wszystkiemu zaradzę, jużem zaradziła.
Czy ci słabo? (po chwili) Możebyś się czego napiła?
Oranżowego kwiatu lub kroplę eteru.

XIĘŻNA (opuszcza ręce na fotelu.)

Ach!

HRABINA.

Ma bonne.

XIĘŻNA.

Ach! Ach!

HRABINA.

Co ci?

XIĘŻNA (słabym głosem.)

Eteru! eteru!

HRABINA (dobywa flaszeczkę którą daje wąchać Xiężnie.)

Ale radzić potrzeba i spiesznie — o trzeba!
A koniec będzie dobry przy pomocy Nieba.

(Po chwili.)

I twojej droga Xiężno.

XIĘŻNA (przychodząc nieco do siebie.)

Cóż ja tutaj mogę?

HRABINA.

Z Tężyńskim sprawa.

XIĘŻNA.

Ten znów zachodzi mi w drogę.

HRABINA.

Wiesz że kocha Matyldę.

XIĘŻNA.

Wiem — Wiem, i dla tego
zabronię już go wpuszczać na próg domu mego.

HRABINA (smutnie.)

Może już raz ostatni dziś tutaj przybędzie.

XIĘŻNA.

Tem lepiej że ostatni — Niechaj bywa wszędzie;
niech się kocha w kim zechce, byle nam dał spokój.
Słabnę gdy o nim wspomnę.

HRABINA.

Ależ się uspokój,
Edward — jak na zacnego przystało człowieka,
niezgodnych z wolą waszą zamiarów się zrzeka.
Kocha ją, wielbi, ale z przeznaczeń koleji,
gdy ma być nieszczęśliwym, — gdy nie ma nadzieji
byście jego najdroższe spełnili życzenia,
broniąc Xięcia chce dać wam dowód poświęcenia.

XIĘŻNA (uspokojona nieco.)

Co? Broniąc? On ma Xięcia wziąć w swoją obronę?

HRABINA.

Mrozowicz jak Otello zazdrośny o żonę.
Wiesz że o miłość dla niej Xięcia podejrzywa?
I tylko śmierci pragnie jego ręka mściwa.

(Z wyrachowaniem.)

Chce sam zginąć lub zabić — zabić — twego męża.
Edward mu sekunduje.

(Xiężna upada prawie bezwładnie na fotel. — Hrabina ją trzeźwi.)

XIĘŻNA (po długiem milczeniu.)

Zabić mego męża?!....

HRABINA (trzeźwiąc.)

Zażyj trochę eteru. Bóg łaskaw. Trza radzić
aby od tych zamiarów zbójcę odprowadzić,

(Wznosząc ręce do góry.)

Bóg nad nami. Licz na mnie. Damy sobie rady.
Znasz chciwość Mrozowicza. Wejdziemy w układy.
Jeszcze Xięcia przeprosi. — Z Edwardem mówiłam.
On zrobi co ja zechcę. — Słowem, zaradziłam
już wszystkiemu. Więc teraz uspokój się, droga.
Wszystko się dobrze złoży za pomocą Boga,

II.

SŁUŻĄCY (wchodzi.)

Pan Tężyński przyjechał.

XIĘŻNA (przerażona.)

Ach moja kochana!
Ja go widzieć nie mogę. (Do służącego.) Proś Xięcia —
proś Pana.
Albo.... stój.... może lepiej — niechaj nie wychodzi....
Powiedz — że chory.

HRABINA.

Ma chère! Wszak to nie uchodzi.

XIĘŻNA (do służącego.)

Powiedz że nie ma w domu — chory — wszyscy chorzy.

HRABINA.

Ma mie! To rzecz zaostrzyć może tylko gorzej.
(Do służącego.)
Proś Pana. Tylko prędko. (Służący odchodzi.)

XIĘŻNA.

Ach, ach! Cóż ja zrobię?

HRABINA.

Wyjdź — wyjdź. Ja sama radę potrafię dać sobie.
Bóg nad nami. Wiesz że masz przyjaciółkę ze mnie.
Cały zamiar ich spełznie na niczem, daremnie.

(Xiężna odchodzi, w drzwiach spotyka się z Xięciem.)

III.

XIĄŻE.

Co to jest?

XIĘŻNA.

Ach, nie idź tam!

XIĄŻE.

Co się tobie stało?

XIĘŻNA.

Nie idź, nie idź!

HRABINA.

Ja Xięciu opowiem rzecz całą.

XIĘŻNA (odchodząc do Xięcia.)

Każ go wytrącić za drzwi.

XIĄŻE.

Ale cóż to znaczy?
Niech mi droga Hrabina objaśnić to raczy. (Bierze ją za ręce.)

HRABINA (żywo.)

Teraz nie pora jeszcze. Właśnie tu przybywa
Tężyński w ważnej sprawie — To później. — Szczęśliwa
okoliczność zdarzyła, iż sprzyjając szczerze,
mogę was przecie ostrzedz, jak radzić w tej mierze...

XIĄŻE.

A! to pewno szaleniec ten, co już nas męczy
od dawna....

(Hrabina kiwa głową na znak przeczenia.)

Niechże mnie już Hrabina nie dręczy.

HRABINA (po chwili milczenia.)

Nie domyślasz się wcale. Twoje życie Xiąże
w jego ręku.

XIĄŻE.

Z tym panem wszak nic mię nie wiąże.
Co to jest? Ledwo znam go; czasami tu bywa.
Lecz odtąd żadnych nie chcę z nim....

HRABINA (łagodnie.)

Przyjaźń prawdziwa
znajdzie środki zaradzić złemu — Wszak oddawna
znam go — Zrobi co zechcę.

XIĄŻE.

A! to rzecz zabawna.
I za cóż moje życie w ręku tego pana?

HRABINA.

A! to długa historja — sprawa opłakana.
Nie mam czasu ci mówić — On już tu — Dość wiedzieć,
że ma być sekundantem.

XIĄŻE.

Będzie w kozie siedzieć.
Bo to jest awantura, tak, na gładkiej drodze.
Co to jest? skądże? za co? Otóż popuść wodze
zbytniej popularności z głupią szlachtą naszą,
Zaraz-ci chcą brat za brat.

HRABINA.

Tem się nie zastraszą.
jeśli ich zechcesz przed sąd prawny powoływać.

XIĄŻE (odważnie.)

Zobaczymy. Oho! ho!

HRABINA.

To trudno zgadywać.
Ale lepiej łagodnie — Znasz szlachecką zgraję.
To mrowisko! — Gdy ruszysz — wnet tłum ich powstaje.

(Po chwili.)

Ot głupia szlachta nasza! — A w całej tej sprawie,
zdaj się we wszystkiem na mnie — was samych zostawię.

(Chce odchodzić, potem zawraca się.)

Tylko wierz mi — z tą szlachtą trza czasem być grzecznie.
Jeśli to nas nie godne — przynajmniej bezpiecznie.

(Xiąże przechadza się chwilę zamyślony gestykulując, potem siada w fotelu.)

HRABINA (we drzwiach.)

Trza mu pochlebiać. (Odchodzi.)

XIĄŻE (do siebie.)

No! no! Znam tę zgraję brudną.
Pochlebstwem lub grzecznością kupić ich nie trudno.

IV.

(Wchodzi TĘŻYŃSKI. Xiąże zrywa się z wymuszoną grzecznością.)

EDWARD (wesoło do Xięcia.)

Dobrydzień Mości Xiąże. Śród zatrudnień tylu
ledwie mam czasu chwilkę. Byłem w Złotowilu.
Nocowałem u tego drogiego Prezesa.
Co za miły staruszek! Doprawdy noblessa
tak zacnym urzędnikiem poszczycić się może.
Co to za słodki humor! — Jam trudny w wyborze
towarzystwa — lecz z nim mnie słodko chwile płyną.
Jaka łatwość w rozmowie! — A z każdą godziną,
można się coś dowiedzieć o stosunkach licznych,
które zabrał w podróżach swoich zagranicznych.
To człowiek postępowy, bardzo oświecony.
Otóż — cóż chciałem mówić? a! byłem proszony
przez hrabinę Amelję, na wieczorek mały;
tańcująca herbata, pomysł doskonały.
Wybornie się bawiono, choć w nielicznem gronie.
Hrabina umie nadać ton w swoim salonie.
Dobrane towarzystwo tylko tam się zbiera,
które zdobią dystynkcja światowa, manjera,
i ten ton, w którym człowiek aż lżejszym się czuje.
A Xiąże czemu nie był?

XIĄŻE.

Hm! Ja nie tańcuję.

EDWARD.

Właśnie tam od Majora lecę jak szalony;
przybywam, tańczę; w końcu gdy byłem znużony,
pojechałem z Prezesem.

XIĄŻE.

Cóż Pana sprowadza?.....

EDWARD.

Mrozowicz mię tu przysłał?

XIĄŻE.

Czyliż jego władza
nad tobą się rozciąga łaskawy sąsiedzie?
Przysłał, hm! przysłał. Jakto?

EDWARD (zawsze prędko.)

Jestem w ciężkiej biedzie....
Właśnie od tego burdy i awanturnika.....

XIĄŻE.

Mniemałem iż Pan takich towarzystw unika.

EDWARD.

Ile mogę — lecz honor — stosunki przyjaźni —
Trudno mi się wymówić.

XIĄŻE (zdziwiony.)

Stosunki przyjaźni?!..

EDWARD.

Choć dla Xięcia z czcią jestem i uszanowaniem....
Lecz mniemam, że się wszystko skończy pojednaniem.

XIĄŻE.

Pojednaniem? — O jakiem pojednaniu prawisz? —
(Udając wesołość wstaje często, to znowu siada.)
Zawsze żartować lubisz, lecz tem mnie nie bawisz.
I z kimże?

EDWARD.

Z Mrozowiczem.

XIĄŻE.

Ledwie znam go... Przytem...
zawszem dość grzeczny był z tym brudnym pasożytem.

EDWARD.

Zapewne... Lecz....

XIĄŻE (powstając do niego łagodnym głosem.)

Siadajże. — Wiesz, mocno się dziwię,
że sławy przodków twoich nie cenisz.

EDWARD (przerywając.)

Prawdziwie.....
Mości Xiąże.....

XIĄŻE.

Pozwólże — Ty co we krwi swojej.....

EDWARD.

Tém się nie szczycę wcale.

XIĄŻE.

..... Ty, co we krwi swojej
nosisz zasługi przodków, u dam jesteś w modzie,
przyjaciół masz bez miary, liczysz w rodowodzie
kasztelanów, starostów, biskupów, hetmanów,
że się też dobrowolnie zniżasz do *tych* panów.
Co za przyjaźń? Mrozowicz hm! Mrozowicz z żoną.
Czyż nie możesz znajomych wybrać sobie grono
dystyngowane, słowem arystokratyczne?
Wszakże masz w czem wybierać! Stosunki tak liczne.
Wierz mi, jam twój przyjaciel i radzę ci szczerze,
nie wdawaj się z szubrawstwem, to ci glans odbierze;
tę ogładę wyższości, ten polor światowy.
Po co ci szlachetczyzna ta wlazła do głowy?

EDWARD (coraz więcej prostując się w miarę, jak Xiąże mówi.)

Tak.... tak... zapewne... widzi Xiąże... tak... tak... ale.
To prawda — mój rodowód — wiem to doskonale.
Tylu przodków — i jacy!... Jakaż na to rada?
Trzeba czasem wleść w błoto. — Człowiek często wpada
mimo woli w tę śmieszną hałajstrę — cóż robić?!
Muszę żyć z nimi. — Trudno cały świat przerobić!
Ten krewny, tamten sąsiad — to kolega szkolny.
A wybór między ludźmi przykry i mozolny.

Więc ja nie chcąc nikogo na siebie obrażać,
by i panom dogodzić i szlachty nie zrażać,
gdy wejdę w towarzystwa skład tak dziwnie sprzeczny,

(pokazując na siebie,)

z równymi jestem dobrze, a ze szlachtą grzeczny.

(Gdy to mówi Tężyński, Xiąże odwraca się komicznie, kiwa głową i ironicznie mruga.)

XIĄŻE.

No! i powiedz do czego to cię doprowadzi?
że cię zgniotą, (pokazuje na migach uściski) obślinią, że ci będą radzi.
Za to (pokazując koniec palca) tyle nie warto tracić swej powagi.
Przepraszam cię, lecz to brak moralnej odwagi,
Wszak co pan z panów, to nie prosty jakiś szlaga.
Podstawą towarzystwa jest nasza powaga.

EDWARD.

To prawda Mości Xiąże — to prawda, sam czuję,
że wcale niepotrzebnie wlazłem w tę tam szuję.
Ale — czasem — doprawdy — wykręcić się trudno,
gdy raz się wdasz z tą szlachtą wrzaskliwą i nudną.
Dziś naprzykład, wpada ten awanturnik do mnie,
Zaledwie mię przywitał; gada nieprzytomnie,
płacze, prosi, zaklina; krzyczy jak szalony:
żona, honor, śmierć, xiąże....

XIĄŻE.

On w łeb postrzelony.
Lecz powiedz mi Pan cóż to mnie może obchodzić?

EDWARD (tajemniczo.)

Ha! Mąż boi się rogów. Trzeba go złagodzić...
Choć straszliwie zażarty — O żonę zazdrośny,
Xięcia z nią o stosunek posądza miłośny.

XIĄŻE (z dumą.)

Panie Tężyński, dość już tych żartów.

EDWARD (poważnie.)

Nie, Xiąże.
To nie żart.

XIĄŻE (z wielkim gniewem.)

Dość już. — Nic mię z tym panem nie wiąże.
To nadto. (Stuka w stół pięścią.)

EDWARD (surowo.)

Panie! Głosu nie podnoś, — i proszę
z większą mówić uwagą, bo obelg nie znoszę.
Ten hardy ton jest dla mnie zniewagą zarazem,
którą zmyć potrafimy kulą lub żelazem.
(łagodnie.)
Mniemałem, iż Pan zechcesz dziwaczną tę sprawę
z Mrozowiczem zakończyć — a widzę, że krwawe
zatargi stąd wyrosną. Przywożę wezwanie.

XIĄŻE.

Pojedynek?

EDWARD (z grzecznością.)

Przykro mi niewypowiedzianie.
Lecz chciałbym obowiązek ten na mnie włożony
spełnić jako pośrednik. Honorowa sprawa
dozwala zbliżyć strony.

XIĄŻE (odważnie.)

Wszak krajowe prawa
wszelkich burd, pojedynków zabraniają ściśle.
Ani się godzić ani strzelać się nie myślę.

(przechadza się poruszony.)

To się moim zasadom sprzeciwia i zdaniu.
Ja nigdy wbrew nie idę memu przekonaniu.

(po chwili.)

Nie chybiłem mu w niczem i pojąć nie mogę,
że się też ośmielacie zachodzić mi w drogę!
Ostrzegam żem zawzięty — i będąc wezwanym,
dam sobie radę z tym — z tym łotrem opętanym.
Ale śmiałka nauczę — o, nauczyć muszę.
Ja mu proces wytoczę — ja go zdławię, zduszę,
Przed sądem całą sprawę zbójecką wyłuszczę,
Ja go... ja go... ja nie wiem... z torbami go puszczę.
Nauczę go — jak trzeba szanować zasługi —
mą godność — i powagę; pewno po nim drugi
nie ośmieli się więcej.

(Hrabina zjawia się w drzwiach.)

EDWARD (ze spokojną dumą.)

Zapał ten zbyteczny,
Mości Xiąże. To dla mnie powód dostateczny
abym burzę co Xięciu groziła oddalił,
i w tej sprawie przynajmniej mój honor ocalił.
Więc już wszystko skończone — poprzestaję na tem.
Żegnam Xięcia — Spełniłem powinność.

XIĄŻE (coraz śmielej.)

A zatem
niechże ów śmiałek ma się dobrze na baczności.
Moim prawnym obrońcą sąd sprawiedliwości.
Ja z mej strony zawezwę policyjną władzę,
i Pana Mrozowicza w więzieniu osadzę.

(Spiesznie odchodzi.)

EDWARD (za odchodzącym xięciem z wyrazem pogardy.)

Nie bój się teraz Xiąże kuli ni żelaza.
Taką mową się zmywa najkrwawsza obraza.

(Chce odejść.)

V.

(HRABINA która dotąd podsłuchiwała, wpada i zatrzymuje TĘŻYŃSKIEGO.)

HRABINA (do Edwarda.)

O, szalony! dziwaku! Jeszczeż z twojej głowy
nie wywietrzał ów jakiś honor romansowy?
Jeszcześ się nie otrząsnął z przesądu głupiego,
wszedłszy do towarzystwa dystyngowanego?!

Ja cię bronię, ja strzegę, jak brata, jak syna,
ja cię pragnę oświecić co dzień, co godzina;
a ty mi w każdej chwili jako jeż kolcami,
wyleźć musisz z gminnemi wyobrażeniami;
a ty mi z każdym krokiem, co tylko ułożę,
zawsze zniszczysz, w tym swoim szlacheckim ferworze.]
To choroba chroniczna — ta, ta wasza pycha,
którą ma każdy szlachcic choć z głodu usycha.

EDWARD (poważnie.)

Hrabino! zawsze rad twych słuchałem i nieraz
ckliwo mi od nich było, lecz pozwól że teraz,
w tej sprawie za mém własném pójdę przekonaniem.
Odkąd wszedłem w ten wielki świat za twem staraniem,
prawda, że się wesoło bawię, ale czasem
i życie mi obmierznie z tym waszym hałasem.
Dziś zaś mej cierpliwości dopełniłem miary.
Nie żądaj więc już większej odemnie ofiary.

(Z zapałem.)

Nigdybym szczęścia nie chciał zdobywać nikczemnie.
Mrozowicz całą ufność swoją złożył we mnie.
Chciałaś bym z niej korzystał. — On pragnął bym Xięcia
strachem śmierci przymusił przyjąć mnie za zięcia.
Wzdrygałem się na samo nawet przypuszczenie
że tą drogą otrzymam córki przyrzeczenie.
Nigdym też nie miał działać jak mi ten łotr radził.
Lecz plan jego na inną myśl mnie naprowadził.

Poznałem jego chytrość. — Ten szatan wcielony
niecnych widoków chciał narzędzie zrobić z żony.
Pod pozorem udanej czy szczerej zazdrości,
chciał Xięcia siecią intryg trzymać w zależności.
Jam odgadł ten piekielny zamiar. Więc mniemałem
że zjawiam się jak zbawca, — że jeśli obrałem
pośrednią drogę zgody, ufności nie zdradzę
i z tej podłej zasadzki, Xięcia wyprowadzę, —
że położywszy koniec tej smutnej rozterce,
pozyskam wdzięczność córki a... może.... jej serce.
Słyszałaś co powiedział.

HRABINA.

Ha! boś zagorzały.
Odtąd na siebie biorę interes ten cały.

EDWARD (stanowczo.)

E! dość już tej komedji. Za drogo kosztuje;
sumienie mi plugawi, spokojność mi truje.
Żegnam was — i na zawsze (chce odejść.)

HRABINA (odwraca się w największej złości.)

A! a! Ledwie żyję.
Idź więc znów pieczeniarzyć. To hańbę twą zmyje.
Odrzucasz własne szczęście. Nie zmuszam. Twej woli
sprzeciwiać się nie mogę, choć mocno mię boli
twój postępek; lecz pomnij, o pomnij Edwardzie,
że odtąd żyć masz w nędzy, w ucisku, w pogardzie.

EDWARD (zamyśla się.)

Cóż mam począć Hrabino?

HRABINA (ironicznie.)

Pracuj. Idź pracować.
Idź służyć. — Dość już pańskich podwojów pilnować.

(Tężyński wzdryga się.)

Wszak to wasz mądry kodex tę maxymę głosi
że praca rąk nikomu krzywdy nie przynosi.

(Bierze stojący na stole portret Matyldy.)

Oto jej portret. Poświęć choć jedną łzę żalu....
Teraz... szczęśliwa droga!

EDWARD (z uczuciem.)

Rozpaczy, nie żalu.

HRABINA (trzymając portret.)

Pożegnaj ją na zawsze.

EDWARD (zachwycony patrzy na portret.)

Ha! to przeznaczenie!
Choćbym się chciał poprawić, choć gryzie sumienie,
zastawiliście na mnie sideł, ponęt tyle,
że oprzeć się im mężnie nie czuję się w sile.

HRABINA.

Wybieraj. Tu — Matyldy posag, świetne związki.
Tam — zmudna praca; wszelkie bowiem obowiązki

moje od dziś ustają. Zapomnij żeś kiedy
znał mię, widział. — Wśród nędzy, wśród największej biedy,
nie myśl o mnie. Litości — o! nie znajdziesz we mnie.

EDWARD (niecierpliwie.)

Mamże szczęście niepewne zdobywać nikczemnie?

HRABINA (z dziką ironją.)

Marzycielu — Szaleńcze!... No! dość już tych bredni.
Zostaw mnie resztę.

EDWARD (bierze rękę hrabiny, błagając.)

Pani! Wiem że nie pośledni
masz talent rzecz prowadzić, choć tu skok zbyt trudny;
lecz spraw, bym z tej nie wyszedł sprawy całkiem brudny.

HRABINA.

Teraz idź do ogrodu. (Tężyński odchodzi drzwiami bocznemi.)

(Hrabina dzwoni. — Wchodzi służący.)

Xięcia prosić. (Służący odchodzi.)

(za odchodzącym Edwardem.)

Głupi!...
Jeszcze mu honor w głowie! (Zamyśla się.) Nie zmusi, to kupi.
Strachem nie dał się zmiękczyć. Znajdziem sposób inny.
Tam był środek gwałtowny. (Dobywa papier z woreczka.)
To będzie niewinny.

(Śmieje się szyderczo)

VI.

(Wchodzi Xiąże.)

HRABINA.

Mości Xiąże!
Muszę wyznać. Ta sprawa plącze się i wiąże
w nierozgmatwany węzeł.

XIĄŻE.

No! cóż tam nowego?

HRABINA.

Trzeba radzić i szybko. Broń Boże — co złego
z tej afery wyjść może. Tężyński powiada
że twój przed całym światem postępek rozgada,
że cię osławi, splami.

XIĄZE.

Tyle tylko? — Szkoda
i mówić o tem — cha — cha!

HRABINA.

Ręki ci nie poda.

XIĄŻE.

Tém lepiej. Dla mnie będzie korzyść oczywista,
jeśli z tą zgrają zerwę, — będzie ręka czysta;
bo mię brucze ta szlachta.

HRABINA.

To nie koniec na tém.
Będą cię szykanować publicznie.

XIĄŻE.

A zatem
nie pokażę się nigdzie i żaden mi w drogę
nie będzie mógł wleźć. — Bez nich ja obejść się mogę;
oni bezemnie — nigdy.
(Z zapałem.) Moją bronią wzgarda.

HRABINA.

To go nie upokorzy, bo to dusza harda.
Wiesz co teraz chce zrobić? Edward ma papiery,
które cię mogą zgubić.

XIĄŻE.

Co?

HRABINA.

Bądź ze mną szczery.
Majątek jego ojca.....

XIĄŻE (okropnie zmieszany.)

Co? jaki?

HRABINA (zimno.)

Majątek
jego ojca.... on o tém wie....

XIĄŻE (prawie nieprzytomnie.)

Cóż?

HRABINA.

To początek
twéj powagi — znaczenia....

XIĄŻE.

Jakto! Co to znaczy?

HRABINA (pokazuje Xięciu dokument, na który Xiąże patrzy z przerażeniem.)

Ten papier lepiej Xięciu wszystko wytłómaczy.

XIĄŻE (z wściekłością.)

Zdradziłaś mię poczwaro!

HRABINA.

Twoja tajemnica
jest moją, więc milczałam Lecz dziś okolica
cała z ust Tężyńskiego o wszystkiém się dowie.
Co powie twoja żona? co Matylda powie?...

XIĄŻE.

Ach! to ich może zabić!...

HRABINA.

Edward wie już o tem
że byt wasz okupiony jego własném złotem.
On widział ten testament i wie żeś ty panem
majątku wydartego ojcu.. ..

XIĄŻE (w najwyższej złości.)

Tyś szatanem,
nie kobietą, — poczwaro! — więc wszystko wyjawię...
Powiem żeś mi spólnikiem była w całej sprawie.

HRABINA.

Cha — cha — cha! Uspokój się. Cóż mam do stracenia?...
Mam tylko same długi.... O hańbę imienia

nie dbam... Ty swym tytułem ni córki, ni żony,
ni siebie nie nakarmisz. I te milljony
wrócą zkąd przyszły; a ten szubrawiec, szlacheta,
ten..... wiesz jak go nazywasz.....

XIĄŻE.

Przeklęta kobieta.
Więc czegoż chcesz? czegoż chcesz?

HRABINA.

Ha! ha! mon cher ami —
Jakżeś ty śmieszny dzisiaj z twojemi gestami.
[Soyez donc raisonnable. Faisons ce qu'il ya à faire.
Il est temps d'arranger de notre mieux nos affaires]
Wiesz że Edward Matyldę kocha, więc ją zmusić....

XIĄŻE (w rozpaczy.)

Matyldę! Boże! co ty! Matyldę przymusić!...
Za Edwarda — Hrabino! nie, o nie, Hrabino! (Klęka.)
Ty tego nie chcesz — słuchaj — mą córkę jedyną
za człowieka bez żadnych zasług, bez imienia,
bez przeszłości, bez sławy? Tego poniżenia
nie przeżyję. — Me dziecię, me najdroższe dziecię
oddać, by się z bękartem szargało po świecie!

(Po chwili milczenia wstaje.)

Nie, Pani — Nadtom dumny — nadto siebie cenię.
Wszystko stracę, lecz moich przekonań nie zmienię.

HRABINA (cierpliwie.)

Wszystko stracisz? cha! cha! cha! Jak z gorączki
plecie!
A w nędzy się nie zszarga twe kochane dziecię? —
Czyś nie został, mój Xiąże, nagle demokratą? (śmieje się.)

(Po chwili.)

Wolisz widzieć Matyldę w nędzy, czy bogatą?

XIĄŻE (przechadza się wzdłuż sali.)

A! piekło w mojej piersi. Rób co chcesz.

HRABINA.

Więc zgoda?

XIAŻE

Jakiż środek przymusu Hrabina mi poda?

HRABINA.

O, to do mnie należy. [Cette enfant délicieuse
ne se fera pas longtemps prier; il la rendra heureuse.]
Teraz zostaw mię samą.

Xiąże odchodzi. Hrabina staje na progu drzwi wiodących do ogrodu i woła, dając znak chustką.

VII.

HRABINA.

Edwardzie! (wchodzi Tężyński.)
(Słodko.) Mój drogi!
Wiesz że chcę twego szczęścia?

EDWARD.

Ach, na wszystkie Bogi
zaklinam ci się, wierzę iż chcesz szczęścia mego;
tylko mnie puśćcie już stąd — puśćcie mnie żywego.
Zagrzązłem, niech raz wybrnę.
Przeczucie złowieszcze
przejmuje moją duszę — Nie upadłem jeszcze
tak nizko, a wciąż czegoś lękam się i wstydzę.
Własny cień mię przestrasza.

HRABINA.

Mój drogi — jak widzę,
szczerze kochasz Matyldę. Szaleństwo miłości
doszło do swego kresu.

EDWARD.

Hrabino! Z litości!...
nie wspominaj mi o niéj. Ja zapomnieć muszę
o mem szczęściu i o niéj. Jutro w świat wyruszę—

HRABINA.

A jeżeli Matylda kocha cię nawzajem?

EDWARD (z westchnieniem.)

Och! gdybym mógł mieć pewność!... Byłoby to rajem.

HRABINA.

A jeżeli ci nawet za mojem staraniem
gotowa oddać rękę.

EDWARD.

Za twojem staraniem?
Matylda? — Nie, Hrabino. Nie! To być nie może.

HRABINA.

Czemżebyś mi odpłacił? czem?

EDWARD (z zapałem.)

Ja? o, mój Boże!
Wszystko oddam — świat cały — co mam, czego nie mam.

HRABINA (tajemniczo.)

Słuchaj. Wiesz — co przyrzekam, to święcie dotrzymam.
Wiesz — że mam wielkie długi. Na wsi siedzieć muszę.
A wieś serce mi ściska, krępuje mi duszę.
Słuchaj więc mój Edwardzie.... posłuchaj cierpliwie.
Ty z posagiem Matyldy możesz żyć szczęśliwie,
gdybyś tylko połowę posiadł. Dwa milljony:
majątek dostateczny dla ciebie i żony.
Drugie dwa mnie zapiszesz.

EDWARD (rzuca się.)

Ach, Hrabino droga!
wszak majątek Matyldy nie jest mym, dla Boga!

(Xiąże cicho drzwi otworzywszy wygląda.)

HRABINA.

Ona ci wszystko odda. Rodziców jej wola
jest jeszcze na przeszkodzie. Lecz to moja rola
zbliżyć was i zakończyć pomyślnie rzecz całą.
A za moje starania tę nagrodę małą

dasz mi, drogi Edwardzie. Wszakże ja mam prawo żądać tego od ciebie. Sam wiesz — nieraz krwawo pracowałam, by dochód z szczątków mej fortuny tobie przesłać. (Płacze.) Przysięgłam, przysięgłam u truny twego ojca, któremu winnam wszystko w świecie, że odtąd w mą opiekę wezmę jego dziecię. Przygarnęłam sierotę. Tyś dla mnie był synem..... (Płacze.)
Jam wszystko poświęciła..... (płacze.)

EDWARD (rozczulony.)

Pani! każdym czynem chciałbym wdzięczność okazać; majątku zaś nie mam.

HRABINA.

Lecz mieć będziesz, więc zapisz.

EDWARD (z niecierpliwością.)

Dalej nie wytrzymam. Jakiż? — Gdzie?

HRABINA (dostaje papier z woreczka.)

Oto papier. Ja żądam połowy. Zapisz, że jakikolwiek majątek spadkowy dostanie się dla ciebie, ty — na korzyść moją odstępujesz połowę.

EDWARD (namyślając się.)

Zgoda.

HRABINA (odpina pieczęć od zegarka.)

Daj mi twoją pieczęć — i podpisz.

(EDWARD podpisuje.)

HRABINA (zagląda w papier.)

Tu — tak. (Całuje go w czoło.)
Mój drogi, kochany.
Wszak wiesz że mój majątek tobie zapisany.
Po mojej śmierci wszystko twoje. (Chowa zapis do woreczka.)
Teraz pora
pomówić z Xiężną. Pójdę po nią. Biedna — chora.
Tém lepiej. Łatwiej zmiękczyć. Teraz idź już sobie.
A co tu przy pomocy Boga dzisiaj zrobię,
doniosę ci. Bądź wesół, miej w Bogu nadzieję.
Matylda — twoja. (Idzie do pokojów Xiężny.)

EDWARD (odchodząc.)

Boże! Co się ze mną dzieje?!.......

(Zasłona spada.)

Koniec aktu trzeciego.

AKT CZWARTY.

(W domu Xięcia. Ten sam salon.)

I.

HRABINA, MROZOWICZ.

HRABINA.

Zawiedliśmy się!... Strachem swego przedsięwzięcia
Pan nie dokonasz. — Groźba nie złamała Xięcia.
Dopiero go rozczulił i zmiękczył testament.
Komiczna była scena.... wściekłość, rozpacz, lament.
Ale go mamy w ręku. Trudniej pójdzie z Xiężną.
Ta kobieta w nieszczęściu zawsze była mężną.

MROZOWICZ.

Ten sam sposób na Xiężnę! — Co tu może męstwo?
Stawmy na jedną kartę, — a przy nas zwycięstwo.

HRABINA.

Więc z nami jaki układ?

MROZOWICZ.

W dwóch słowach rzecz skończę.
I sprawę, która w sposób niemiły się plącze,

rozstrzygnę z ich korzyścią, by dowieść im jawnie
szczerych mych uczuć. — Pani... Xiąże... winni prawnie
ulegać karze śmierci; lecz honor, sumienie
nakazują mi względy dla nich i milczenie.
Jednak mam obowiązki. — Dziateczki i żona
i fortunka staraniu memu powierzona.....
Trzeba myśleć o jutrze. — Los niesprawiedliwie
rozrządza. Xiąże zbrodniarz, — a żyje szczęśliwie,
gdy w ciągłym, ciężkim trudzie mnie dzień za dniem
leci.
Xiąże ma jedną córkę. — ja kilkoro dzieci.
Jego ogromnych bogactw występny początek;
ja z własnego przemysłu mam skromny majątek.
Wyraźnych, jak wiadomo, nie mam ja dowodów,
potępiających Xięcia; — ale z tych powodów,
którem wyżej wyłożył, gdy zręczność się zdarza,
nieubłagane prawo równowagę stwarza.
Jam tu tylko narzędziem, sługą praw wieczystych...
Z drugiej strony, nie brak mi świadectw oczywistych:
jakie z rąk Pani sprawa ta przeszła koleje.
Lecz z próżnego Salomon nawet nie naleje....
Pani straciłaś wszystko.... Ja mało zyskałem....
Dla mnie zaś tajemnica ta jest kapitałem!
Więc Xiąże musi tutaj być kozłem ofiarnym
i przyjąć kornie wyrok, jak przed sądem karnym.
Z przeznaczenia, majątek do Edwarda wraca.
Z słuszności, Pani będzie nagrodzona praca.

Również słusznie ja przy tej wzajemnej umowie,
należę do udziału Pani po połowie.
Przy takiej kombinacji nikt tu nic nie traci.
Owszem, każdy coś zyska. Pani się wzbogaci.
Xiąże wolny od śmierci. Pan Edward ma żonę;
Matylda: męża, ojca, imię nie splamione.
Ja zaś odtąd już całą tę sprawę zataję,
gdyż Pani tajemnicę na własność sprzedaję.

HRABINA.

Czy to ostatnie słowo?

MROZOWICZ (zamyślony.)

To słowo ostatnie.
Jednak nie mam pewności że Xiąże w tę matnię
złowi się. Może zmieni swe postanowienie.
A ponieważ i na nim ciąży podejrzenie,
musi więc je okupić, bo straciłbym na tem,
gdybym i tu nie odniósł korzyści.

HRABINA.

A zatem....
Rzecz skończona? (Wzdycha.) Niech Bóg mi pomoże!

MROZOWICZ.

Skończona.
I sprawiedliwość wszystkim będzie wymierzona.

HRABINA (prędko.)

Bądź Pan tu blizko; a gdy zastukam trzy razy,
wejdziesz. — Nadchodzą właśnie.

MROZOWICZ.

Będę na rozkazy.

(Odchodzi do przyległego pokoju.)

II.

HRABINA. Wchodzi XIĘŻNA i MATYLDA, prowadząc matkę.

HRABINA (do Xiężny.)

Nie trwoż się, moja droga..... Pan Bóg cios dotkliwy
przygotował dla ciebie... Twój mąż nieszczęśliwy.....

MATYLDA.

O Nieba!

HRABINA (pobożnie.)

Potrzeba się zgodzić z wolą Boga...
Ratuj męża.

MATYLDA (z boleścią.)

A!

HRABINA (do Matyldy.)

Ratuj ojca, moja droga.
Okropna tajemnica....

XIĘŻNA (padając na krzesło.)

Miej litość nademną.
Mów — prędko.

MATYLDA (z przerażeniem.)

Mamo!... Boże!... co się dzieje ze mną!

XIĘŻNA.

Mów — niech już me cierpienia prędzej się zakończą.

HRABINA.

Sama nie wiem.... Ach!.. Xiężno... myśli mi się
plączą. .
Jeszcze jest środek trudny... trudny... lecz jedyny.
W twojém ręku (obraca się do Matyldy,)
(do Xiężny) w jej ręku... w ręku tej dziewczyny....
(całuje ją.) Możesz zbawić ojca.

MATYLDA.

O Boże! co to znaczy?

XIĘŻNA.

A! nie męcz mię już dłużej. Ja umrę z rozpaczy!...
Uciekajmy.

HRABINA.

I dokąd? Napadną — dogonią.
Przezorność i pokora tylko naszą bronią.

MATYLDA.

O czem to mowa? Mamo!... Mamo!... (załamuje ręce.)
Co za męka!

HRABINA.

Wybierajcie. Śmierć Xięcia lub Matyldy ręka...
Edwardowi.

MATYLDA.

Co słyszę!... czym we śnie?...

XIĘŻNA (dumnie.)

Mnie grożą?
Mnie straszyć chcą ci zbójcy!? — Tem mnie nie zatrwożą.
Matylda!... moja córka!... i Edwarda żoną?!..

(powstając z energją.)

Wolę śmierć mego męża — niż córkę zhańbioną.

(Matylda załamuje ręce.)

HRABINA.

Xiężno! — Matylda kocha Edwarda.

MATYLDA.

Co Pani?
Ach! niech mi Pani serca boleśniej nie rani.

HRABINA (zimno.)

Tak, kochasz; wiem, przedemną nie ma nic skrytego.

MATYLDA

Nie cierpię go.

HRABINA.

Tem gorzej, a wyjdziesz za niego.

MATYLDA.

Ja?

HRABINA.

Ty, ty.

XIĘŻNA.

Co ty mówisz?

HRABINA.

Ja tak chcę.

XIĘŻNA.

Hrabino!.....

HRABINA.

Słuchajcie! wam w dostatkach szczęśliwie dni płyną.
A ja — dziś — nie mam nic już. O, wy dobrze wiecie
do czego to dojść można kiedy nędza gniecie
pieszczone niegdyś zbytkiem i roskoszą ciało.
Wasz majątek jest moim.

XIĘŻNA (przestraszona do Matyldy.)

Co to się jej stało?
Nieprzytomna! Szalona!..... Jak z gorączki bredzi!

HRABINA.

Słuchaj więc Xiężno, słuchaj Matyldo, spowiedzi:
Edward jest moim synem. — Jeden krok występny
wiedzie nas w strasznych zbrodni labirynt posępny.
Zostałam matką w nędzy..... Uboga..... zhańbiona.....
bez rodziców, bez wsparcia, bez rady, wzgardzona
przez tego, który sprawcą był mojej niedoli;
jeszcze żyć chciałam w zbytku... jeszcze w mojej woli
obudziły się żądze znaczenia, świetności.
Szukałam szczęścia w zbrodni.... a szatan zazdrości

wskazywał mi bogactwa i przepych i stroje.
Występek znikł mi z oczu. — Dawne niepokoje
zgasły; wstydu nie czułam i mara nadzieji
wstąpiła w moją duszę..... W tej dziwnej koleji
mego życia, zajaśniał przedemną świat nowy.
Chciałam szczęścia namiętnie... Twej matki namowy
Xiężno... może z litości, w jej dom mnie przeniosły....
Waszego rodu stary szczep, niegdyś wyniosły,
wówczas próchniał od zbytku, i już miał się zwalić.
Toczył go ludzkiej krzywdy robak, a ocalić
mogło go tylko złoto. Ostatnie gałązki:
młody hrabia, ty, Xiężno, schły marnie, a związki
z jaką możną rodziną, były czczem marzeniem.
Matka chciała cię złączyć z xiążęcem imieniem, —
więc za ubogą mitrę sprzedała w zamęście....
a cudzemi pieniędzmi kupiono wam szczęście...

(po chwili milczenia.)

Edwarda ojciec pośród najstraszliwszej męki
nagle żyć przestał. Napój podany z mej ręki
i.... z ręki twego ojca..... Matyldo!.....

MATYLDA.

O Boże!
Boże!..... (Pada na krzesło bezwładnie ukryta za ekramem.)

HRABINA.

..... przerwał mu życie. A śmiertelne łoże
nieszczęśliwej ofiary, sami sprawcy zbrodni
otaczali bez świadków..... i tylko niegodni

krzywoprzysięzcy, złotem kupieni hrabiny,
wyznali, iż Tężyński umarł z własnej winy,
że się struł dobrowolnie. Bogactw liczne zbiory
były naszym udziałem, a wszelkie pozory
Xiąże zręcznie usunął. — Testament zmarłego
mnie powierzył by spalić. W końcu brata twego
oddano mi za męża. — Ty zostałaś żoną
mordercy i gasnący ród wasz ocalono.

(Dziko śmiejąc się.)

A teraz na mnie kolej.

(Zbliża się do drzwi i wprowadza Mrozowicza.)

Oto prawodawca
waszych bogactw i moich. Równie biegły znawca
chemicznych preparatów, jak środków prawniczych,
on doradzcą był moich działań tajemniczych
i w nagrodę pochłonął majątek mój cały.
Mam syna.... Moje źrodła już się wyczerpały.

(Do Matyldy.)

Wybieraj. — W naszem ręku ojca twego życie.
Ja spełniam jego wolę, wy — moją spełnicie.

(Matylda z przeraźliwym krzykiem ucieka.)

III.

MROZOWICZ (z układną miną,)

Chcę spokój wnieść w dom państwa.
Oto są powody
co mię tu sprowadzają. Mam wszelkie dowody

że dobra Xięcia Pana nieprawnie nabyte,
że zapis zfałszowany, a imię ukryte
prawdziwego dziedzica dziś na jaw wyjść może.
Lecz ja łagodny koniec wszystkiemu położę;
tylko nagrodę małą, nagrodę malutką
żądam za mą życzliwość, i sprawa ta krótko
a pomyślnie dla państwa skończy się. Racz Pani
pomówić z Xięciem.

IV.

XIĘŻNA (z okropnem przerażeniem.)

Przebóg! W jakiejże otchłani
piekielnych zbrodni stoję?!.... Jakiż straszny, ciemny
spisek nas tu otacza?...

(Do Mrozowicza z pogardą.)

Precz ztąd! precz nikczemny!

(Do wchodzącego męża ciągnąc go za rękę.)

Idź! idź! — potworze! Oto spólnik twojej zbrodni!..
Mów z nim... obaście zacni, oba siebie godni!....
Odtąd, niech ciebie nigdy nie oglądam więcej!
I męża i godności zrzekam się xiążęcej.

(W rozpaczy.)

Dziś! dopiero..... dziś spadła z oczu mych zasłona!....
I ja w odmęcie brudów wyklęta, zhańbiona,
ja żyć muszę z występnem matki mej wspomnieniem,
ja żyć muszę z splamionem, zdeptanem imieniem!....
Imię mojego dziecka!.... dziedzictwo jedyne!....
Boże! — Nie karz mi córki za matki mej winę

(Klęka przed krucyfixem i modli się spokojnie.)

Panie! Naucz mnie cierpieć. Daj siłę... daj wiarę
w najwyższą godność krzyża. Przyjmij na ofiarę:
te męczarnie, ten ból za wszystkie nasze grzechy;
i dla biednej mej córki nie odmów pociechy.
Tyś więcej cierpiał Panie! Ty wiesz co cierpienie...
Ależ ja tylko słabe i nędzne stworzenie!

(Odchodzi z krzyżem.)

V.

XIĄŻE (do Mrozowicza.)

Czego żądasz mój panie?

(W tej chwili wchodzi Prezes i patrzy hardo na Mrozowicza.)

MROZOWICZ (zmięszany spoglądając bojaźliwie na Prezesa,)

Nic — Xiąże łaskawy.
Chciałem z Xiężną pomówić, względem mojej sprawy...
Wszak Hrabina..... zapewne.... wspomniała... Dziś tylko
wraz z mem uszanowaniem.... chciałem jedną chwilką
przydłużyć moję bytność.... by o przyrzeczone
poprosić dożywocie.... Jeszcze nie skończone
między nami rachunki... niektóre wypłaty...
Nieurodzaj... Na bursie miałem znaczne straty.
Któż szlachcica biednego przed nędzą ukryje
jeżeli nie Pan polski?.. (chytrze.) Ręka rękę myje.

VI.

PREZES (rzucając Mrozowiczowi pod nogi worek ze złotem.)

Obie brudne. — Tu twoje rachunki. — Masz... w złocie.
Ale precz mi stąd zaraz! — To twe dożywocie.

To nagroda za wszystko. — Tu masz pięć tysięcy
czerwonych złotych. Słyszysz? — Jeśli trzeba więcej
dam więcej; — a z Hrabiną nie trzeba się dzielić.
No!... podejm. Ha! nie może dotąd się ośmielić.

(Z oburzeniem, wskazując Mrozowicza.)

Ten mędrzec postępowy.... niegdyś Frost nad Sprewą,
De la Gelèe nad Sekwaną, Morozow nad Newą,
przybierał wszystkie nazwy które mu dogodne
i zrzucał narodowość jak suknie nie modne.
Czciciel Straussa, Büchnera, Darwina, Hartmana,
liberalny!... a sługa każdego tyrana, —
mięso bez duszy, — zwierzę z rodziny szakalów,
wróg Boga, czciciel siły, — gorszy od Wandalów,
propagator!... najbieglej umiejąc rachować,
tu się zagnieździł aby nas cywilizować!....
aby w imię postępu, społecznej równości,
w polskiej skurze, nas.... ciemnych.... ogryzać do kości.

(Do Mrozowicza.)

Precz pasożycie! mówię.

MROZOWICZ (zuchwale.)

Mospanie Prezesie....

(Podnosi worek.)

PREZES (srogo.)

E! Mospanie Fritz czy Frost! Jam przecie jak w lesie,
nie siedział w trybunale i wiem co się święci;
wiem o panu nie mało, bom jeszcze pamięci

nie stracił dzięki Bogu; — więc milcz proszę ciebie.
Wszak na to mam stosunki, abym mógł w potrzebie,
nieszczęśliwym nieść pomoc; a choć gardzę wami,
od śmierci was ocalam memi stosunkami.

(Pokazuje papiery.)

Oto jest na was wszystkich tajne doniesienie.
Wyrok mógł być: śmierć — albo do śmierci więzienie.

(Zwracając się do Xięcia.)

Litością zdjęty dla twej zacnej córki, żony, —
hańbą którąby na nich spadła przerażony, —
jam was zbawił, — nie wierząc zrazu waszej zbrodni.
I te papiery u mnie, — a wyście swobodni

(Z szyderstwem, ukazując Hrabinę i Mrozowicza.)

I to polska niewiasta!... A to demokrata!....
Postępowiec!... I z takich składa się pół świata!

HRABINA (przerażona.)

Polska niewiasta?... O nie!... Tem świętem imieniem
nie wznoś upadłej, co się brzydzi swoim cieniem.
Na mnie cięży rozpusta, zabójstwo i zdrada.
Lecz ciężar moich zbrodni na naród nie spada.
Czyliż ja jestem Polką?... Cóż polskiego we mnie?...
Mojego rodu znamię starłam już nikczemnie.
A wszakże jam niewinna!... Ty to wiesz o Boże!
Ty mi przebaczysz, bo wiesz kto mnie na bezdroże
występków, brudów popchnął. — Tak mnie wychowano!
I puszczono w świat podły.... nędzną i skalaną.

Od dzieciństwa zatruta powietrzem obczyzny,
nie znałam ni cnót przodków, ni dziejów ojczyzny.
Nie znałam nic prócz pokus i rozkoszy, w życiu!...
Były chwile... gdym gorzkie łzy lała w ukryciu
Z moich łez, z moich modlitw świat nielitościwie
szydził tylko.... Przysięgam.... Chciałam żyć cnotliwie.

(Ukazując ręką w tę stronę gdzie stał krucyfix.)

Oto krzyż Zbawiciela.... Na jego męczeństwo.....

(Idzie do krzyża i nie widząc go wydaje krzyk przeraźliwy.)

Chrystus uciekł odemnie.... Przekleństwo... przekleństwo!
Ha! więc wytrwam do końca.... Zasłużyłam piekło....
Dzikiej zemsty na sobie czuję żądzę wściekłą....

(Dostaje flaszeczkę z trucizną.)

Zbrodnia niech zmyje zbrodnię, — trucizna truciznę...
Lecz wina niech nie spada na moją ojczyznę!

(Patrząc na flaszeczkę.)

Więc jeszcze jedna zbrodnia.... Jedna mniej lub więcej.....
To nie upodli niżej istoty zwierzęcej.

(Ukazując Mrozowicza.)

Mój mistrz... mędrzec... mnie uczył że wiara dla tłumu;
że dusza, Bóstwo nikną przed światłem rozumu....

(Z wzrastającym zapałem.)

Nie! Tyś jest Boże! Czuję gniewu Twego brzemię.
Na tych bluźnierców rzuć, za całe ludzkie plemię,
straszliwe gromy Twoje, — na nich Twe przekleństwo
niech spada całem piekłem, nie na społeczeństwo. —

Filozofy bez Boga!... Ten szatan.... pokusa...
ten czciciel siły.... on mi zastąpił Chrystusa!

(Zwracając się do miejsca gdzie stał krucyfix.)

Jam Cię obłudnie czciła,.... by pokryć me zbrodnie.

(Podnosi flaszeczkę do ust.)

Teraz, to... dla mnie.... Krwi twej nie przyjmę niegodnie.
To wijatyk na drogę!.. ale nie do nieba!....

(Chwyta się za serce.)

A!... Ty mi przebaczyłeś! (Rzuca flaszeczkę.) Nie! Już mi
nie trzeba.
Ja konam... Serce pęka... Konam... Moja skrucha...
wzbudziła w Tobie litość.... Przyjmiesz mego ducha.

Pada na ręce Xięcia, Prezesa i Mrozowicza którzy omdlałą Hrabinę odprowadzają. Muzyka zaczyna grać spokojną, cichą symfonję.

VII.

Chwila niemej sceny przy dźwięku cichej muzyki.

MATYLDA idzie z krzyżem wolnym krokiem wzdłuż sali i stawia krucyfix na postumencie. Potem siada otoczona kwiatami. — KONRAD ukazuje się w głębi. Zatrzymuje się przez chwilę. Powolnie zbliża się do Matyldy głęboko zadumanej. — Milczenie.

(Muzyka przestaje grać.)

KONRAD.

Pani dzisiaj smutniejsza jak zwykle.

MATYLDA (budząc się z zamyślenia.)

Smutniejsza?! —
Powiedz Pan raczej: śmielsza... szczersza, odważniejsza.

(Ukazując krucyfix.)

Krzyż i modlitwa matki dodały mi siły.
Lżej mi. — Gdy bole co się w duszy mojej kryły,
wychodzą na jaw, czuję się niby szczęśliwszą,
jakbym się odrodziła godniejszą, cnotliwszą.

(Po chwili.)

A jednak... jednak czyliż jest większa męczarnia
rozpaczy, jak ta co mnie w tej chwili ogarnia?...

(Zamyślona, jakby do siebie.)

Mieć ojca i nie mieć go, — znać go nie być znaną, —
być godną potępienia, — a być ukochaną!...
gardzić najświętszym darem ręki niepojętej, —
czuć powinność zdeptania powinności świętej!...
żyć, — i ojcu powiedzieć: straciłeś twe dziecię!...
O! straszniejszych męczarni niema już na świecie.

(Do Konrada.)

[Kiedy chmura co chwila jasną łuną błyska,
czy nie dojrzysz w jej łonie burzy co grom ciska?
Śmiech codziennem mem kłamstwem. Dotąd łzy tajone
dziś wezbrały, jak w głębiach nurty przepełnione.

(Pociąga za rękę Konrada.)

Teraz — jam sama sobą; — dziś może raz pierwszy
widzisz smutek prawdziwy, nietajony, szczerszy.
Spadłam z szczytu wielkości, skąd tyle łez tryska, —
z tego złotego szczytu... co mi serce ściska.....

(Z bolesnem szyderstwem.)

Tyle szczęścia! — O, wszystko co może dać ziemia!...
Tyle blasku — że światło aż oczy zaciemia,

(zamyśla się — z westchnieniem.)

i wzrok duszy przytępia!..... ach! czuję jak ślepnę,
i niby w lodu bryłę ścinam się i krzepnę.
Jestże to przesyt?..... (śmieje się straszliwie.)
Ach! jam wszystkiem pogardziła.
Jam tych skarbów nie tknęła..... (z wzrastającym zapałem.)
Jam znienawidziła
nawet imię mych ojców!..... (Milczenie.)
I czegoż mi smutno?!
Ha! — tak! tak — jestem córką — wyrodną — okrutną!
Ojca.. mojego ojca brzydzę się imienia
i zacnej matki mojej powiększam cierpienia.

(zamyśla się.)

Poczciwe ojców imię!..... a myśli mi brudzi!.....
Niegdyś zacne!..... a teraz — pośmiewisko ludzi!.....

(Po chwili milczenia.)

Dziś smutniejsza!..... o! dla mnie każdy dzień ponury.
Cóż mogło z mego czoła spędzić smutków chmury?
tych udręczeń tajemnych, co wraz z mem istnieniem,
okoliły mą duszę ciernistym pierścieniem?.....
Lecz dziś, kiedy cierpienia męczą mnie bez miary,
pozwól że z tej, goryczą przepełnionej czary,
wyleję co mię dręczy, co pali, co boli.
Pozwól niech raz usłucham serca mego woli.
[Wszakżeśmy krewni bliscy — tylko rodu pycha,
od świętych, drogich związków rodzinnych odpycha
najzacniejszego z ludzi. Wszak słuchać masz prawo
moich skarg, moich żalów, gdy mi tęskno, łzawo.]

Pozwól mi się poskarzyć — posłuchaj cierpliwie,
jak przyjaciel, jak brat mój — z spółczuciem, życzliwie.
Słuchaj mię – słuchaj—tylko, och! nie śmiej się ze mnie.
Ja powiedzieć nie umiem, co się dzieje we mnie;
ale się nie śmiej — widzisz — jam jeszcze dziecinna,
nie umiem prawdy mówić—lecz cożem ja winna?!.....
Ja bardzo biedna! — nie mam przed kim się użalić.
Ty jeden — och, ty jeden możesz mię ocalić.
O, miej litość nademną!...

KONRAD (surowo.)

Czyliż mniemasz Pani —
że we mnie litość nawet nie powstanie dla niej?
I gdy na świat ten patrzę zimnemi oczyma,
to już iskry uczucia w mojej piersi niema?!
Jeśli śmiechem szyderstwa widzisz usta drżące,
zatrute gorzką mową, a częściej milczące,
sądzisz-że, iż co święte, co zacne i prawe
ja mogę zniszczyć, zdeptać—jakby na zabawę?
Mniemasz, iż widząc ciebie znękaną cierpieniem,
nie uświęcę spółczuciem, nie uczczę westchnieniem?!
Przyczyna twego smutku, Pani, mi nieznana,
ale zarzut boleśny, boleśna to rana.

MATYLDA.

Konradzie! o, jam ciebie obrazić nie chciała.
Przebacz mi — przebacz — widzisz — jam źle
powiedziała.

Ach, ja nie wiem w tej chwili — co mówię, co czuję.
Tak mi się głowa kręci — ach! coś mi się snuje —
[jakaś myśl — czegoś mi tak i straszno i błogo. —
Co mi jest? — Ach, ja nie mam, ja nie mam nikogo, —
komubym mogła serce otworzyć, a z tobą
tak mi dobrze — że myśli okryte żałobą
czarnych smutków same się wyrywają z cieśni.
Ulituj się nademną — nie rań mię boleśniej.]
Patrz — jak tu ckliwo, straszno na tym wielkim świecie,
a na nim jak w pustyni — ja — zbłąkane dziecię!
Taki tłum — a dokoła martwy chłód cmentarzy,
fałsz w ustach, próżnia w sercu — a uśmiech na twarzy!
Patrz, jak skaczą w tym tłumie lalki nakręcone....
Całe nędzne me życie w ten łańcuch wplecione!
[Pierwsze ogniwo w zbrodni — a ostatnie w złocie.
Z nimi muszę się ruszać, z nimi grzęznąć w błocie,
jak przestępca okuty żelazną obręczą,
któremu w noc i we dnie kajdanami brzęczą. —]
O, gdybym mogła kiedy siłą mego ducha,
stargać haniebne kólce społeczeństw łańcucha
i odlecieć osobnem, maleńkiem ogniwem
i zamieszkać w ustroniu spokojnem, szczęśliwém,
gdzieś daleko — by ludzkie oko nie dościgło;
gdzieś wysoko — w kraj ciepły, by serce nie stygło.
Ale tak mnie tu strzegą — tak mię tutaj więżą.
Na barki mi włożyli łańcuchy co ciężą,

na usta mi wcisnęli śmiech z obłudną mową,
i to zowią rozumem, dystynkcją światową!.....
[W tej straszliwej wędrówce zdradzieckiej ułudy,
w tym głuszącym odmęcie, śród kłamstw i obłudy,
postąpić wprzód nie mogę — a gdy prawdę badam,
wikłać się ciągle muszę i co krok upadam.
Ach, któż mi rękę poda? Któż słabą podtrzyma?
Kto zedrze tę zasłonę nad memi oczyma?
Kto mi tę mgłę rozproszy, co jak z przeznaczenia,
zawisła nad kolebką mojego istnienia,
by mię ścigać do grobu — w ciemnościach zostawić,
i serce moje wygryźć — i wzroku pozbawić!.....
O, ja gardzę mym stanem; ja z xiążęcem godłem,
muszę pełzać nikczemnie w tem bagnisku podłem,
z uroczych krain ducha i uczuć wygnana,
odtrącona — wyklęta — sama — zapoznana!.....
Dla mnie obce rozkosze w ducha uniesieniu,
dla mnie obca nagroda w spokojném sumieniu,
w spełnieniu powinności — w ratunku bliźniego.
Czytałam o tem, lecz to bajką życia mego.]

(Z zapałem.)

Wszystko mi tu ohydny stan mój przypomina.

(Oglądając się.)

Marmury, złoto i ta jedwabna tkanina,
xiążęce szaty — skarby — dworzec okazały,
i te sprzęty i kwiaty i przepych ten cały.

A tyle ludzi w nędzy! — I ja im nie mogę
oczyścić cierniskami usłaną ich drogę,
przynieść słówko pociechy, otuchy, zachęty,
otrzyć im łzę rozpaczy!..... bo stan mój przeklęty
wszędzie stawi zaporę. Ja mogę im tylko
od codziennej zabawy, odkradzioną chwilką,
dojrzawszy nędzę, z głodu, z choroby zniszczoną,
garść złota rzucić jak psom kość niedogryzioną.....
Ale łzą łzę ukoić — serce się nie sili,
bo mnie od niemowlęctwa płakać zabronili!

(Z boleścią i uniesieniem.)

Tylko mi serca jeszcze wydrzeć nie zdołali....
ale mi je skrzywili, podarli, zszarpali.
[O, czuję, bije jeszcze — ale jego bicia
drżą już ostatniem tętnem gasnącego życia.
W tym zaduchu zgnilizny — w ciemnoty pomroku,
gdzie trącałam o bryły lodu w każdym kroku,
ostatki ożywczego ciepła, co w niém tlało,
zstudzone zimnem, które dokoła mnie wiało.]
Och! i to serce we mnie już stygnąć zaczyna.
Odezwie się niekiedy, jak martwa sprężyna
martwego mechanizmu....

(Z gorzkim uśmiechem.)

.... arcydzieła sztuki,
któremu mistrz dał kółka z pomocą nauki —
I swój towar wystawił — ażeby go sprzedać!...

(Milczenie.)

KONRAD (ponuro.)

Pani! gdy serce w łonie — wszystko ocalone!
Choć morze twego życia posępne, zburzone,
możesz jeszcze wypłynąć. — I z tych burz powodzi
na twojem sercu czystem, — jak na pewnej łodzi
ocalisz twoją duszę świętą, nieskalaną.

MATYLDA.

Moje serce! Ach, czyliż mogłam skołataną
duszę unieść bez skazy — z krainy zepsucia —
ocalić choćby iskrę świętego uczucia?!...
[*Żelazo* rdza przegryza — jaż mogłam me serce,
oddawszy wprzódy wszystko zgubnej poniewierce,
wszystko co było drogie i święte i miłe,
nie wtrącić w tę straszliwą otrętwień mogiłę?!...
Nie — o nie!... Jam od razu tak nizko stanęła.
Kiedy tylko Opatrzność życie we mnie tchnęła,
już mię dławił w kolebce, jak grobowy kamień,
ten blask zwodniczych świateł, pokus i omamień;
już dusza u samego bytu tego proga,
nie mogła być tak czystą jak wyszła z rąk Boga.]

(Po długiej chwili milczenia.

O, słuchaj, jam występna! we mnie nic świętego!
nic niema! czy ty słyszysz? — Co było dobrego
w mojej duszy — wyrwali jak chwast niepotrzebny;
zniszczyli Boże plony; — tylko cierń haniebny,
zasadzili w tej wyschłej, spustoszałej roli —
tylko cierń, co mi w sercu ciągle tkwi i boli.

I teraz — na tej niwie — pusto, dziko, czarno —
same zbrodnie — a jeśli nie zbrodnie to ziarno,
ziarno straszliwych zbrodni!..... Jedna tylko cała
śród zwalisk uczuć moich przyjaźń pozostała,...
moja przyjaźń, o, bracie jedyny dla ciebie,
tak czysta — jaką była dusza moja w niebie.
[Tem tylko żyję jeszcze, w cierpieniach bez miary
Nie odtrącaj mnie biednej, nie studź mojej wiary,
że ty jeden Konradzie wyrwiesz mię z tej toni,
że mię tylko twa ręka od zguby ochroni.]
O! ty jeden — ty jeden pojmiesz rozpacz moję.
Nie zabijaj mię słowem! — Jedno słowo twoje
może mię zabić — Pęknie ostatnia sprężyna....
i mojego istnienia grobowa godzina
da hasło śmierci......

KONRAD. (zimno.)

Pani!

MATYLDA (porywczo.)

Ach! nie mów mi jeszcze.
Niech się słodkiej nadzieji marzeniem popieszczę.
Błagam cię — nie mów teraz — o milcz, milcz Konradzie!
Może mi zechcesz mówić o fałszu. o zdradzie,
może szydercze słowo z ust twoich wypadnie,
może otwarłszy duszę, ukażesz mi na dnie,
obojętność i wzgardę, — ja spojrzę w jej głębię
i resztę wiary w zacność w mém sercu wyziębię.

Stracę resztę nadzieji, którą dotąd żyję;
ostatni zniknie urok, i to mnie zabije.
A ja tak chcę żyć jeszcze, mój wiek taki młody;
ja jeszcze nie zaznałam szczęścia, ni swobody!
Może świat jest piękniejszym niźli mi się zdaje,
może w nim tyle szczęścia, ile mnie nie staje.
Może ja kiedy zrzucę te więzy złowieszcze.
O, nie mów mi Konradzie, niech ja żyję jeszcze.

KONRAD.

Matyldo! czyż mię nie znasz? [ja z szczęściem na wieki,
na wieki się rozstałem. Od świata daleki,
zamknąłem się sam w sobie, w mych książek natłoku,
szyderczy ukazując śmiech ludzkiemu oku.
Lecz dziś, gdy sama będąc rozpaczy ofiarą,
ty jedna mnie podnosisz ufnością i wiarą
w moją zacność, dziś Pani, dziś gdy nieszczęśliwa,
nieszczęśliwszego jeszcze pomocy przyzywa,
gdy przyjaźni wejrzeniem i szczerém i rzewném,
rozjaśniasz drogę w mojem tułactwie niepewném,
powiedz, powiedz Matyldo!] czy w myśli mych niebie,
mam co prócz wspomnień ojca, mej matki i ciebie!?..

MATYLDA.

O Konradzie, Konradzie luby! słowa twoje
to całe moje szczęście, ja wyznać się boję,...
Wiesz, odkiedy mię dręczy ten stan mój złowrogi,
tylko mię przyjaźń twoja, o bracie mój drogi,

zdolna jeszcze unosić na szczęścia wyżyny.
Może moje uczucie, ten skarb mój jedyny,
jest miłością najczystszą, najświętszą, prawdziwą?
O, jeśli to jest miłość, byłabym szczęśliwą,
bo tylkobym o tobie, ach, tylko o tobie
mogłabym śnić i marzyć w tem życiu i w grobie.
[A za grobem..... ja nie wiem, co tam, tam, za grobem.....
Książki, które mi dano, mówią że za grobem
nie ma nic — jak tam straszno!..... nie ma nawet
ciebie!.....
Mnie uczono że żyjąc tu, można być w niebie.
Ach!..... dotąd piekło miałam..... a jeśli tam nieba
nie ma, o powiedz gdzie go szukać trzeba?]
Zdaje mi się że całe niebo tu mi płonie,
żem go w sercu znalazła, o, tu, tu w mem łonie.
Jestli to miłość? — powiedz, powiedz o mój drogi!
Jestli on rajem, ziemią, piekłem ten stan błogi?
Jestli on niebem? — Może ja jestem już w niebie?
Może ja ciebie kocham?

(W najwyższem umiesieniu rzucając mu się na szyję.)

Ach! ja kocham ciebie!

KONRAD (cofając się z przerażeniem.)

Matyldo ty mię kochasz?!..... Nieszczęsna!

MATYLDA.

Mój luby!

Ty się gniewasz?

KONRAD

Matyldo! chceszże własnej zguby!.....

(po chwili.)

i mojej!..... O, ja nędzny!... ach tegożem dożył,
żebym tobie za życia grób straszny otworzył!
Ty mię kochasz Matyldo? — Wieszże co w tem słowie
najstraszliwszych udręczeń, gdy Xiąże się dowie?!.....
Czemużem poznał ciebie, by twą pierś dziewiczą
natchnąć uczuciem takiem, miłością zbrodniczą?!

MATYLDA (dumnie.)

Zbrodniczą? — Ty nazywasz uczucie me zbrodnią,
uczucie co lśni jasną niebiańską pochodnią?...
[co mię wznosi, uzacnia, do aniołów zbliża....
mą miłość, którą tylko ten stan mój poniża.
O, Konradzie, Konradzie! – odtrąć mię od siebie,
odepchnij mię, wierz tylko że ja kocham ciebie.
W tej chwili, och! uczułam czem jesteś ty dla mnie.
O! tylko się nie gniewaj, tylko spojrzyj na mnie!]
Konradzie! wiem mój drogi, żem ciebie niegodna.
Odepchnij, lecz nie gardź mną!.. ..

KONRAD

O, córko wyrodna!
Wieszże jakiém straszliwém, zabójczém żelazem
przeszywasz serce ojcu i matce twej razem?

(Matylda pada na krzeslo.)

(Po pauzie niby w obłąkaniu do siebie.)

I ja, ja niegdyś żebrak, dziś tułacz po świecie,
jam zabił to xiążęce, och! anielskie dziecię!
To dziecię com wypieścił w krainie mych marzeń,
w cudowne oblókł kształty moich wyobrażeń;
jam mu zgotował przyszłość straszniejszą od piekła,
jaką dać może duma w swej zemście zaciekła!
Ona pójdzie na pastwę handlarzom bez serca,
co kupioną ofiarę wloką do kobierca,
by związawszy ją ślubem u ołtarza progu,
krzywoprzysięgać sobie i ludziom i Bogu.

(Z bolesnem szyderstwem.)

Mniemałem że mojemu służę narodowi,
jeśli zacną dziewicę wychowam krajowi.

(Z rozpaczą.)

Jam zaćmił mą nauką te światowe słońca,
co świeciły w jej życiu, by długie, bez końca,
straszne męczarnie tylko wlać do serca tego,
by zniszczyć szczęście ziemi, a nie dać innego!.....
O, przeklęte nauki! — przekleństwo nademną!

(Przystępuje do Matyldy.)

Nie! ja ciebie nie kocham!!!

MATYLDA (po długiem milczeniu.)

Boże!..... jak tu ciemno!.....
Jak tu straszno, grobowo, jak zimno.....
(zakrywa oczy, trąca ozdoby stojące na stole.) ha!..... co to!.....
Cmentarz, pomniki... trumny... nie... (z uśmiechem) to
tylko złoto!.....

Ale tu (pokazując na serce) pusto!. ... martwo — och, same
zwaliska!.....
Mogiły, czaszki, koście, obrzydłe kościska ....
Groby, i krzyżów tyle. ha! na co te krzyże!
(Bierze się za głowę.)
Ach! jak mi przeraźliwie jęczą w uszach spiże!.....
Czy to mój pogrzeb?..... i nikt, nikt za mną nie
(drze suknie.) płacze!.....
Któż płacze na pogrzebie?..... Ach, szmaty żebracze.
Ja sierota?!..... o, nie!..... ja miałam ojca — matkę,
i pałace, a teraz, teraz, ot tę chatkę...
(Opiera się o ścianę pod krzyż.)
trumnę, grób. — Jak tu dobrze, lepiej niż na świecie.
Och! tam ciasno mi było.....
(przyciskając ręce do piersi.)
Ta ziemia mię gniecie;
ale ja śpię, ja tylko śpię, ja jeszcze żyję.
(Coraz gwałtowniej.)
Na cóż mię zakopywać?..... patrz — serce mi bije.
(Chwila milczenia. — Cisnąc silniej ręce.)
Ta ziemia, och! ta ziemia, o! szkoda mnie, szkoda!

KONRAD (podchodząc osłupiały.)

Matyldo!

(Matylda budząc się, wydaje krzyk przeraźliwy; długo wpatruje się w Konrada, w końcu pada przed nim na kolana i zaczyna płakać. Konrad ją podnosi. Długie milczenie. — Tylko słychać łkanie Matyldy. Konrad jak posąg nieruchomy stoji przed nią, wpatrując się w jej oblicze.)

MATYLDA (powoli przychodząc do siebie.)

To ty! Jakże zmieniony! co tobie? mój Boże!
Czegoż? patrz, jam spokojna.—Idź, ktoś zejść nas może.

Ja o ciebie się lękam, patrzaj, jam wesoła.
Tak mi dobrze, jak gdybym wróciła z kościoła....
[jak gdyby po modlitwie. — Ja się czasem modlę,
choć pacierza nie umiem, za ciebie się modlę....

(z usmiechem.)

do ołtarza, co ot tam, widziałeś w kościele?
Złocisty cały, ojciec mój dał złota wiele.
Mówi że tam jest Pan Bóg w tym złotym ołtarzu.
Ale ty mię uczyłeś inaczej. (Zamyśla się.) W ołtarzu
nie ma Boga, jeśli jest gdzie.... (zamyśla się.) Tak mię
bałamucą,
że mi mój błędny rozum do reszty przewrócą.]
Czegoż tak straszno patrzysz? — Jakie dziecko z ciebie!
A uczony! Nie umiesz zrobić z siebie
co ja; patrz, już mam uśmiech na ustach, a w oku
ni śladu łez. Ty stoisz, nie postąpisz kroku!

(Śmieje się.)

Cha! cha! źle wychowany, udawać nie umie.
Powiedzą, że ci czegoś brakuje w rozumie.
Śmiać się będą. Idź, idźże, ha! stoi jak skała!

(Po chwili.)

Jak mi wesoło! (smutnie.) Pierwszym raz w życiu płakała.

(Odchodzi.)

(Konrad stoi nieruchomy.)

(Zasłona spada.)

Koniec aktu czwartego.

AKT PIĄTY.

Łąka otoczona drzewami. Z dwóch strón i w głębi skały za któremi droga. W oddali na górze widać kościół z dzwonnicą. Przy promieniach zachodzącego słońca wznosi się księżyc. Na prawo skała z krzyżem i z napisem:

Chcąc mnie sądzić nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.

I.

Chłopiec w stroju wieśniaczym siedzi na skale i gra tęskną melodję na fujarce.

Śpiewa.

(Przy cichym wtórze muzyki.)

Oj! ty księżycu,
księżycu blady!
Jakież na licu
twem ciemne ślady?

Liściu zielony,
Liściu dębowy!
Gdy przyszły szrony,
tyś zżółkły, płowy.

Oj! ty dziewczyno!
Lilijo młoda!
Tobie łzy płyną.
Oczu twych szkoda!

„Płaczę, — bom sama, —
bo na mej duszy,
jak na księżycu
taka jest plama!

Płaczę bo z głowy
wianek ruciany
więdnie u ściany
jak liść dębowy.

Płaczę bo wszystek
nadzieji skarb,
jak zimą listek,
odarty z farb.“ *)

(Gra kołomyjkę na fujarze.)

Śpiewa.

Na nutę kołomyjki. **)

Oj! ty horo kamennaja! czom sia ne łupajesz?
Skaży myni diwcze prawdu, w kim ty sia kochajesz?
Chybabym ja durna buła, szczobym sia łupała.
Chybabym ja durna buła, szczobym sia pryznała.

(Odchodzi.)

---

*) Pieśń na wzór ludowyoh pieśni ułożona. ze zbioru K. Brzozowskiego.
**) Pieśń huculów.

II.

EDWARD w stroju fantastycznym. KONRAD w krótkim płaszczyku. Oba z pistoletami w ręku.

EDWARD.

To fatalizm! — Dwie sprawy z jednego wieczora!
Nie przeczuwałem tego, jadąc do Majora!
Mrozowicz mierzył w Xięcia, a dziś w chwil niewiele,
Mrozowicza, gdy los mi posłuży, zastrzelę.

KONRAD.

Dawnoś wrócił?

EDWARD.

Tej chwili. Podróż zamierzona
na dwa dni, — niespodzianie dotąd przedłużona.
Nawet do domu wstąpić, nie miałem dość czasu;
i z podróży przybywam tu prosto do lasu.
A! przyznaję, choć wcale nie jestem zawzięty,
z rozkoszą kulę wsadziłbym w ten łeb przeklęty.

KONRAD (pogardliwie.)

On już dawno zabity. Stąd sprawa wynikła.
Mrozowicz gra komedję; lecz sam się zawikła,
jak mniemam, w sieć tych intryg które ci zgotował.
Nadzieja go zawiedzie. On wiele rachował
na ciebie.

EDWARD (przerażony.)

Ty o wszystkiem wiesz?

KONRAD.

Dziwisz się temu?...

EDWARD (wzruszony.)

I mógłżeś podać rękę mnie, mnie niegodnemu!...

KONRAD.

Cel jego był widoczny. Zobowiązać ciebie
Matyldy ręką, z pewną korzyścią dla siebie.
Czegoby nie dokazał z bojaźliwym Xięciem,
wie że łatwoby dopiął z jego słabym zięciem.
Przytem... inne widoki naprzód obliczone....
Słowem: hojnie zapłacić miałeś mu za żonę.
Nagrodą — dożywocie, bezpłatna dzierżawa
i tak dalej. Matylda twoją; a ta sprawa
pod puklerzem honoru skrywana zdradziecko,
jest to, właściwie mówiąc, handel.... targ o dziecko.

EDWARD (z rozrzewnieniem.)

Nigdym się nie czuł jeszcze tak upokorzonym,
tak srogo ukaranym, rozdartym, zhańbionym.
Twe słowa mnie zabiły. — O, nie! ja umarły
byłem dotąd.... Teraz mi się oczy otwarły.
Dziś poznałem co znaczy takich ludzi rzesza.
Dziś dopiero żyć zacznę. Twa przyjaźń mię wskrzesza.

KONRAD (dumnie.)

Ty przyjaźni mej nie masz. Jeszcze cię szacuję
nie dla tego czem jesteś, lecz czem będziesz. — Czuję

że wiele masz zasobów do szlachetnych czynów.
I jeśli salonowych zrzeczesz się wawrzynów,
jeśli w życiu poważnem inną weźmiesz drogę,
kraj stąd odniesie korzyść.

EDWARD.

Bronić się nie mogę.
Chłoszczesz mię sprawiedliwie. Dziś mi dajesz nowy
dowód twej szlachetności, gdy spieszysz gotowy
nieść mi pomoc w tej sprawie. Czemże ci okażę
mą wdzięczność, mój szacunek?!...

KONRAD.

Gdy zdejmiesz potwarze
które ciężą na tobie. Mówią mi że, w zmowie
z Hrabiną, jakiś wielki majątek w połowie
przyrzekłeś jej odstąpić.

EDWARD (w najwyższem wzruszeniu.)

Ha! Konradzie!
Ty wiesz o wszystkiem! Kto ci mówił o tej zdradzie,
o tym spisku okropnym?

KONRAD.

Xiąże.

EDWARD.

Tracę głowę.
Xiąże? Xiąże?

KONRAD.

Podsłuchał tajemną rozmowę.

EDWARD.

O, nie! nie! To za wiele. Dość już, dość..... Rozumiem....
Dziękować nie potrafię, przeprosić nie umiem;
lecz.... ja ci nie śmiem ręki podać.

KONRAD.

Więc masz moją.
Szczerą, bratnią. Pojmuję teraz boleść twoją.
Podzielam ją i odtąd więcej cię szacuję.
Może wznieść się kto upadł, gdy jeszcze ból czuje.

EDWARD.

Mrozowicza tu niema. Ten co tyle prawi
o honorze i cnocie dotąd się nie stawi.

(Patrzy na zegarek.)

Dwie godziny już mija. Zostaw mnie samego.
Ja nie chcę sekundanta. — Proszę cię.

KONRAD.

Dla czego?

EDWARD.

Sam zostanę. Takiego jak on przeciwnika
jam tylko godzien. Niech się z nim równy potyka.

KONRAD.

Ja na to nie zezwolę.

EDWARD.

Nie! To być nie może.
Ja się dzisiaj nie strzelam. Rozprawę odłożę.
Nie chcę twej obecności.

KONRAD.

Ja za ciebie stanę.

EDWARD.

Konradzie! Chcesz mnie zgubić?

KONRAD.

Odejdź. Ja zostanę.

(Siada pod drzewem.)

Wiesz że drwię z pojedynków. Lecz przesądów dawnych
niszczyć nie mam ochoty. Tylu ludzi sławnych
dostojeństwem, nauką nie są od nich wolni.
Żądałeś mej pomocy. Towarzysze szkolni —
powinniśmy się wspierać w wypadkach wzajemnie.
Przybyłem na twój rozkaz.

EDWARD (patrzy na zegarek.)

Lecz mniemam daremnie.

(Przechadza się zniecierpliwiony.)

Ja śmiałem ci powierzyć honorową sprawę!...
(z ironją.) Honor!.. z którego ludzie dziecinną zabawę
dla półgłówków zrobili!... Ale ten pan z nami
gotów grać znów komedję.

KONRAD.

Więcej się nie splami.

(Słychać w głębi lasu wystrzał z pistoleta.)

EDWARD.

A! to znak umówiony.

KONRAD.

Potrzeba odstrzelić.
Strzelaj do drzewa. (Edward mierzy.) Staraj się dobrze wycelić.
Jeśli trafisz, Mrozowicz zginie.

(Edward strzela.)

KONRAD (oglądając drzewa.)

Aż trzy trupy.
Patrz, trzy drzewa zraniłeś.

EDWARD.

Co mówisz! trzy trupy?

KONRAD (poważnie.)

Tak! I cóż w tem dziwnego? Iluż takich w świecie,
co chodzą, jedzą, piją, choć grób już ich gniecie!
Ogniem żądz tli ich oko i ciało ich w ruchu;
a w sercu cisza śmierci a zgnilizna w duchu.

III.

Z poza skał, z muzyką troistą, nadchodzą wieśniacy i wieśniaczki w białych sukmanach, ubrani świątecznie jak na wesele.

Muzyka gra krakowiaka. Jeden z krakowiaków wychodzi na dolinę, zobaczywszy Konrada i Edwarda. Gdy wszyscy się zatrzymali, zbliża się, wita ukłonem i *śpiewa*. Ostatnią zwrotkę powtarzają wszyscy. Po każdej zwrotce przygrywa muzyka.

Krakowiak.

Jedziem na wesele.
Koniki spienione.
Bo Antek się spieszy
do ślubu po żonę.

Na przedzie basetla;
koło niej skrzypeczka.
Z Antosiem do tańca
wyskoczy dzieweczka.

Wyskoczy dzieweczka;
podkówką zadzwoni.
A Antek tuż w ślady
Kasienkę dogoni.

Jedziem na wesele.
Biją w tarabany.
Niema w całym świecie,
jak nasz kraj kochany.

Gdzieś tam ludzie piszą
mądre kalendarze.
Ale najmądrzejsi
nasi gospodarze.

Kiej człek po robocie,
wesoło sy śpiewa.
I piosenką dziewki
do tańca zagrzewa.

W niedzielę i w święto,
w nowiutkiej sukmanie,
modli się w kościele
i słyszy kazanie.

Nie wie co frasunek
i żyje szczęśliwy.
Bo mu błogosławi
Pan Bóg miłościwy

Jedziem na wesele.
Danaż moja dana.
Pierwsza po kościele:
Polska ukochana.

Pierwsza po kościele:
Polska ukochana.
I na białem ciele
bialutka sukmana.

Bialuśka sukmana
powierzch białej duszy;
tuż koło żupana
i różnych kontuszy.

Toż będzie wesele!
Wiele luda zjedzie.
Staniem przy kościele;
a Polska na przedzie.

Zjedzie luda wiele
z dalekiego kraju.
Będzie po zwyczaju,
w Polsce jak w kościele.

W kościele paramy:
kontusz i sukmana,
Bogu zaśpiewamy
Hosanna! Hosanna!

KONRAD.

Dobrzeście zaśpiewali.

WIEŚNIAK.

Kiej na niebie ciemno,
człowiek w duszy piosenki szuka nadaremno.
Kiej na niebie czy słońce czy to miesiąc świeci,
człekowi zaraz jakoś piosenka się kleci.

(Po chwili.)

Komu w drogę to i czas. Panowie łaskawi.
Ostawajcie się z Bogiem. (Zaczynają się rozchodzić.)

KONRAD.

Niech Bóg błogosławi.

DRUGI KRAKOWIAK.

Odchodząc śpiewa do dziewczyny: *)

A jużem ci ja był po kolana w niebie.
Jakem cię zobaczył, skoczyłem do ciebie.

Tylem razy westchnął dziewczyno do ciebie.
Gdyby tak do Boga, byłbym dawno w niebie.

(Na inną nutę.)

A jak ci ja urznę krakowiaka z nogi,
pójdą wiechcie z butów a trzaski z podłogi.

Muzyki odgłos ginie w głębi.

IV.

MROZOWICZ (wchodzi szybko zadyszany; i zdejmuje kapelusz. Do Edwarda i Konrada.)

Otoż jestem! A! witam, witam, was Panowie.
Przebaczcie mi spóźnienie. Już w drogi połowie
przyszła mi myśl że mogę zginąć w tej potrzebie.
Więc wstrzymuję się; wracam co prędzej do siebie.
Robię rozporządzenie. Żegnam żonę, dziatki.
Zostawiam te sieroty w objęciach ich matki,
zrozpaczonej, zalanej łzami; a sam spieszę
spełnić co każe honor, i mocno się cieszę
że zastaję tu Panów.

KONRAD.

Czyś Pan wątpił o tem?

MROZOWICZ.

Bynajmniej. Widziałem was jadących, a potem

*) Następujące trzy dwuwiersze wyjęte z ludowych piesni.

wiem, wiem moi Panowie, z kim mam do czynienia:
z ludźmi zacnymi, z ludźmi honoru, sumienia.

KONRAD.

Mniej mówmy o sumieniu; przystąpmy do rzeczy.

MROZOWICZ.

Jestem gotów. — Gdy zginę, miej, proszę, na pieczy,
moją biedną rodzinę. Ja życia nie cenię.
Honor mój nieskażony. Czyste mam sumienie.

KONRAD.

Ale gdzież pański świadek?

MROZOWICZ.

Szukałem, prosiłem.
Nie znalazłem nikogo. W końcu sam przybyłem,
nie mogąc wśród przyjaciół mych zrobić wyboru.

KONRAD (uśmiechając się.)

Pomimo taki zapas sumienia, honoru.....

EDWARD.

Tem lepiej! Zostaniemy sami tu. Konradzie!
Nabijaj pistolety.

(Konrad wkłada patrony.)

MROZOWICZ.

To przeciw zasadzie
pojedynków.

EDWARD.

Tu prawem jest walki chęć szczera.

MROZOWICZ (ze złością patrząc.)

Boli mnie ta zawziętość.

EDWARD.

Niech Pan broń wybiera.
Zejdziem w dół. Tam na dole jest parów głęboki.

(Do Konrada.)

Oznacz metę i odejdź.

MROZOWICZ (odważnie.)

Trzy lub cztery kroki.....
Wszelako.... może odwlec.

EDWARD.

Wcale nie.

MROZOWICZ.

Już ciemno.

EDWARD.

Staniem na długość lufy.

MROZOWICZ (płaczliwie.)

Miej litość nademną.
Mam ginąć? to w dzień biały. A już zaszło słońce.

KONRAD.

Wyciągajcie węzełek. Oto są dwa końce.

Kto węzełek wyciągnie, zaraz w tym parowie,
umieści kulę w swego przeciwnika głowie.

V.

W tej chwili odzywa się dzwon kościelny na „Anioł pański.“ Od strony w którą poszło wesele przeciąga z chorągwiami kondukt wracający z pogrzebu. Kilku ludzi w żałobnych szatach. Bractwa w różnych barwach. Tłum ludu idzie powolnie za skałami w głębi.

EDWARD

Czyj to pogrzeb?

MROZOWICZ (ze złością szyderczą.)

Hrabiny Staborskiej.

EDWARD (przerażony.)

Hrabiny?!...

MROZOWICZ.

Tak, Panie.... Twojej matki.

KONRAD.

O śmierci Hrabiny
nie wiedziałeś?

EDWARD.

Nie!... nie!... (klęka pod skałą z krzyżem. Gdy Konrad i Edward zdjęli kapelusze, Mrozowicz swój kapelusz nałożył i patrzy szyderczo na modlącego się Edwarda.)

MROZOWICZ (do Konrada.)

To rzecz arcy-wygodna
ta wasza wiara w przyszłość. Osoba niegodna,

póki żyje, dobrego słowa ni wspomnienia, —
gdy umrze, wnet do nieba wznoszą się westchnienia.

KONRAD.

Pan możesz być zupełnie spokojnym o siebie.
Nikt nie myśli byś mógł być kiedykolwiek w niebie.

EDWARD (Powstaje. Z głębokim żalem.)

To prawda! Ona dla mnie drugą matką była.
Przygarnęła niemowlę.... wszystko poświęciła.
Mej matki nie pamiętam.... i ojca nie znałem!
Zastąpiła rodziców w mojem życiu całem:
i z sercem macierzyńskiem i jak ojciec drugi.
Jam jej nawet ostatniej nie oddał posługi!

MROZOWICZ (staje pod skałą z krzyżem.)

Ojców mógłeś mieć kilku, — a przecież dwóch matek
nikt nie ma. Lecz za tyle cierpień, na ostatek,
powraca ci rodziców ręka sprawiedliwa.
Hrabina — twoja matka rodzona, prawdziwa;
tylko nie miała z ojcem twym dłoni związanej
czarodziejskim tym węzłem wstążki haftowanej.

EDWARD (z wściekłością.)

Kłamiesz potwarco.

MROZOWICZ (zimno.)

Tego drugi raz nie powiesz,
gdy odzyskując matkę zarazem się dowiesz

że ta której tak czułe poświęcasz wspomnienie,
w truciznie... twego ojca zgasiła pragnienie.

EDWARD (porywa pistolet z ziemi.)

Potworze! Ot tem zamknę tę mowę zuchwałą.

MROZOWICZ (odsłania się.)

Zabij. Tylko cię proszę: złóż mnie pod tą skałą....
Śmiało.... I czas i miejsce szczęśliwie dobrane.
(Szydeiczo) Zapewne to są Boga sądy niezbadane!....
Strzelaj! Właśnie z twej matki wracają pogrzebu;
a to.... grób twego ojca..... Pokłońże się niebu
za tyle niespodzianek które razem zsyła.....
Bo świątobliwa mama, choć w nic nie wierzyła,
kazała tobie wierzyć w nieśmiertelność duszy.

(Piekielnie się śmieje.)

EDWARD

Szatanie! ciebie nawet boleść nie poruszy.

MROZOWICZ (zawsze szyderczo.)

Kto z nas lepszy? Tyś chciał mi osierocić dzieci,
jam ci wrócił rodziców.... niech im wieczność świeci.

EDWARD.

A! to posłannik piekła. Kłamiesz.

MROZOWICZ

Chcesz dowodu?
Oto napis. Przypatrz się. Tam znajdziesz u spodu,

drobnemi literami, imię twego ojca

(Edward znajduje napis.)

MROZOWICZ (szyderczo.)

Nie godzien poświęconej ziemi samobójca!...
Tak mądre prawa boskie i ludzkie kazały.

(Wskazując kościół.)

A tam... wzniesiecie z krzyżem pomnik okazały.

VI.

MAJOR, idąc wraz z innymi drogą, spostrzegłszy na łące Mrozowicza, Edwarda i Konrada wychodzi z tłumu i zbliża się do nich. Ci chowają w szczelinach skał pistolety. — Długie milczenie.

MAJOR (wychodzi na środek.)

Mości Panowie! Wiem ja co was tu sprowadza.
W sprawach honoru nawet ojca milczy władza;
atoli gdy zebranych widzę was tu razem,
muszę ozwać się idąc za sumienia wskazem,
jak żołnierz co w więzieniu siedział lat dwanaście,
co był w czterdziestu bitwach i ma ran szesnaście.

(Po chwili do Mrozowicza.)

Pan, odziany zwierzęcej odwagi pozorem,
chciałeś haniebne cele pokrywać honorem;
sądząc że przez zazdrości obłudną zasłonę,
nie dojrzy zbrodni twoich oko doświadczone?
Zdarto ci maskę, podły tchórzu bez sumienia.
Uchodź stąd.... jeżeli chcesz uniknąć więzienia.
Jestto jedyna rada którą ci dać mogę.

(Przedstawia papiery.)

Mam ciebie w ręku; ale wskazuję ci drogę;

bo gdyby sprawiedliwie prawa osądziły
takich jak ty, — więzieniaby was nie zmieściły.

(Mrozowicz odddala się powolnie.)

Jeszcze będziesz szczęśliwie żyć przez długie lata.
Tam dopiero twych zasad czeka cię zapłata.
Tam dopiero się dowiesz czy jest Bóg co sądzi,
czy waszego rozumu siła wszystkiem rządzi.

(Mrozowicz odchodzi. Konrad kładzie się pod skałą w głębi.)

VII.

XIĄŻE (wpada zmieszany.)

Majorze! Szukam ciebie.... Co tu pod tą skałą....
co Panowie robicie?.. Zbiegłem drogę całą....
od cmentarza aż dotąd.... Szukałem cię wszędzie.
Co znaczą te papiery?... w twem ręku....

MAJOR.

Narzędzie
sprawiedliwości boskiej.

XIĄŻE.

Milcz! milcz!... Nie masz prawa.
Ja ci opowiem wszystko.... Tajemnicza sprawa....

(z rozpaczą.)

Moja córka!... Ty byłeś przy śmierci Hrabiny!...

(ze złością.)

Zkorzystałeś niegodnie z tej jednej godziny....
Tajemnicę wydarłeś w chwili jej skonania...
To haniebne!

MAJOR (dumnie.)

Przybyłem w skutek jej wezwania.

XIĄŻE.

I z ust umierającej.... Wszystko wyjawiła?

MAJOR.

Wszystko.

XIĄŻE.

Oddaj papiery.... Ona mnie zdradziła.... Oddaj!.. ja ciebie błagam... To jest tajemnica mojej córki.... Zaklinam na imię szlachcica!

MAJOR.

Ja nie mam prawa.

XIĄŻE (porywa za barki Majora.)

Oddaj! ty przeklęty starcze!...
bo cię zduszę, zadławię.

MAJOR (wskazując pomnik.)

W tem miejscu?... zuchwalcze!

XIĄŻE (patrzy z przerażeniem na pomnik.)

Przebacz!.. Zniszcz je! Przed tobą padam na kolana.

MAJOR (z pogardą.)

Wstań płazie!... (do Edwarda.)
Oto najprzód dokument plebana.

Twój los się zmienił. — Smutnej pamięci Hrabina
ciebie do śmierci miała za swojego syna. —
Dziś wszystko wyjaśnione. — W niemowlęce lata
straciłeś matkę. — Wprędce zeszedł z tego świata
twój nieszczęśliwy ojciec. — Dom zgorzał.... Mniemano
żeś zginął w tym pożarze.... Lecz ręką wybraną
przez Opatrzność zostałeś cudem ocalony:
poświęceniem jednego włościanina żony.
Zacna owa wieśniaczka z ognia cię porwała
i odtąd jako własne dziecię hodowała. —
Wówczas piękna Teresa, późniejsza Hrabina,
została matką tobie rówieśnego syna.
Lecz wprędce umarł synek Teresy nieprawy,
gdy matkę zajmowały w Paryżu zabawy.
Miał imię Edward.... Wtedy, twoja opiekunka
i siostra jej, małego Edwarda piastunka
w miejsce zmarłego dziecka żywe położyły....
Dziś obie plebanowi ten podstęp odkryły,
aby, jak mówią, nie mieć nic na swem sumieniu,
dodając że masz znamię na prawem ramieniu

EDWARD (chwytając za ramię.)

Co słyszę?... Mnie z otchłani wybawia me ramię!
Ach! jam był na złej drodze.... Mam to zbawcze znamię.

(Z rozrzewnieniem.)

Bóg mi świadkiem! występków nie mam. Jam przewinił
nie żem złe czynił, — lecz żem dobrego nie czynił.
I teraz moje imię....

MAJOR.

Twe imię Edwardzie,
dotąd sponiewierane, w powszechnej pogardzie,
zajaśnieje i będzie świadectwem wieczystem
zacnych czynów, — jeżeli nadal życiem czystem
zmażesz grzechy przeszłości. Uznaj łaskę Boga.
W tem zdarzeniu najwyższa dla ciebie przestroga.
Wyszedłeś z ognia żywy, abyś oczyszczony,
wypełnił obowiązek jeszcze nie skończony.
Ciebie teraz zaszczytne posłannictwo czeka:
Masz walczyć za swój naród i prawa człowieka.
Ty na chrzcie otrzymałeś imię: Emanuela.
Odrodzony, odradzaj w imię Zbawiciela.

(Do Xięcia.)

Teraz z nami rachunek. — Najprzód Mości Xiąże!
Wiedz że ciebie z narodem naszym nic nie wiąże,
że w tobie ani jedna kropla krwi nie płynie,
którąby można nazwać polską. — Ród twój słynie
rozbojem przez sześć wieków.... Wnuku Tamerlana!
Potomku złotej hordy!... Tatarskiego Chana
przystoi tobie tytuł, nie polskiego Xięcia.
Oto kres ostateczny twego przedsięwzięcia.

(Okazuje zwój papierów.)

Xiąże Janusz, Matyldy pradziad po kądzieli,
zacnego domu, dumny, wielkiej parenteli, —
złączony z Palemonów xiążęcą rodziną,
jedną miał córkę, a z niej i wnuczkę jedyną:

ostatni szczep dwóch dawnych Xiążąt polskich rodu,
co miał przerwać w tej linji drzewo rodowodu. —
Znękany klęską kraju, wielki patriota,
wierzył iż Polskę zbawić może tylko cnota;
lecz razem wierzył jako w środek polityczny,
w mongolskiej rasy żywioł arystokratyczny,
połączony krwią ze krwią naszego narodu, —
i że to posłannictwem było jego rodu.
Ze szlachetnych pobudek, na dnie silnej wiary,
myśl zacna chorobliwe przybrała rozmiary.
Los sprzyjał jego chęciom. Nad Wołgi brzegami,
znalazł pomiędzy na wpół dzikiemi hordami,
biedne chłopczę, potomka azjatyckich Chanów.
Wychował go; umieścił w rzędzie polskich panów;
dał mu swe imię, rękę wnuczki i majątek.
Taki jest posłannictwa twojego początek!
Więc przez dziwną rachubę czy pychę szaloną,
aryjskie plemię z dzikiem mongolskiem złączono!
Dziś zgasło posłannictwo to twoje mniemane.
Przymusowe małżeństwa węzły rozerwane.
Żona już się wyrzekła występnego męża.
Za wolą Boga prawo najwyższe zwycięża.

(Do Edwarda.)

Twoją własność wydarto. — Przed tobą zabójca, —
z obłudnicą Hrabiną w zmowie, — twego ojca.
Ją w grób wtrąciła rozpacz sumienia zbudzona,
ojca — trucizna, ręką Frosta przyprawiona.

Oto testament, który wszystko ci wyjawi.
Emanuelu! Bądź zacnym. Bóg ci błogosławi.

(Oddaje papiery Emanuelowi.)

XIĄŻE (do Emanuela.)

Przebacz! Ja ciebie także miałem za zbrodniarza.
Nie dziw się żem cię nie chciał widzieć u ołtarza
z Matyldą.

EMANUEL

Przebaczam ci. — Czuję żem niegodny
był jej ręki. (Podaje rękę Xięciu.)

XIĄŻE.

Tyś wzniósł się. A ja.... ja, wyrodny,
następca wielkich mężów.... nie mam nic przed sobą!...
Nie mam nic dla mej córki!... (w najwyższej rozpaczy.)
Mej tarczy ozdobą:
ślady krwi, łez, pożogi.... Może w moje dziecko
przelałem wszystkie zbrodnie z moją krwią zbójecką?!..

(Klęka na grobie.)

MAJOR (nad klęczącym Xięciem.)

A ja ci nie przebaczam.... I Bóg nie przebaczy!
Wasz ród pogrążył ludzkość w bezbrzeżnej rozpaczy.—
W tobie nic zbrodni waszych nie zatarło śladów;
lecz w twej córce ożyły cnoty jej naddziadów; —
bo kropla zacnej krwi, przy czystem ducha tchnieniu,
odezwie się w dziesiątem jeszcze pokoleniu.

Ale zbrodni, co święte obala ołtarze,
co szerzy postrach wszystko niszczącej pochodni,
co depce wolność, własność, wiarę, — takiej zbrodni,
wierz mi Chanie!... trzydzieści pokoleń nie zmaże.

(Emanuel odchodzi.)

VIII.

Zdaleka słychać odgłos organów w kościele. Śpiewają: Miserere. Za skałami, drogą, przechodzą kobiety w żałobnych sukniach. Matylda oddziela się od nich, zbliża się powolnie i klęka na grobie.

XIĄŻE.

(Spostrzegłszy Matyldę idzie szybko do Konrada siedzącego w głębi, porywa go za rękę i ciągnie ku Matyldzie.)

Przeznaczenie ją wiodło. — Myśl moja przesnuta
jak wężem, widmem grobu.... Gdzie grzech tam pokuta.
Dla mnie wszystko skończone!... Już przedśmiertne lata
występków mych nie zgładzą.... Zejdę z tego świata
znudzony jego zbytkiem, zhańbiony, zbolały....
Lecz jeśli jednym czynem zbrodni szereg cały
można zmazać, — niech ojca wypełnię powinność.

(Matylda wstaje.)

Konradzie! Mojej córki cnoty i niewinność
godne twej zacnej duszy. — Ty w szlachetnej dumie,
taiłeś miłość. Serce ojca to rozumie.
Matylda ciebie kocha. — Nim to nędzne życie
zakończę wśród tych cierpień, co mię dręczą skrycie,
chcę ją widzieć szczęśliwą. A nagrodą tobie
jej ręka. Patrząc na was, znajdę spokój w grobie.

Miłość zwycięża wszystko i łączy wam dłonie.

(Matylda rzuca się do nóg ojcu. Xiąże bierze jej rękę.)

KONRAD (stoi nieporuszony.)

Ja do was nie należę. — W missjonarzy gronie
dziś wypełniłem śluby. (Chwila milczenia.)

(Pokazuje krzyż pod płaszczem na piersi zawieszony.)

Z tem godłem zbawienia,
idę na Wschód. — Tam czeka praca rozkrzewienia
Chrystusowej nauki. Jej duchem natchniony,
słowo Boże przeleję w ludów milljony.

(Milczenie.)

Może dla nieszczęsnego naszego narodu,
przymierzeńców śród dzikich znajdę plemion Wschodu.
I nowe ludy w jedno ognisko zespolę....
I może z ich pomocą mych braci wyzwolę!...

(z wzrastającym zapałem.)

Miecz podam na zagładę Chrystusowych wrogów,
noszących złote jarzma ku czci złotych bogów, —
na zagładę bezmyślnych odstępców, służalców,
co zmienili się z ludzi w trzodę siłochwalców.....
Niech nowy pług Europy zachwaszczoną niwę
przeorze, — a ten naród wrzuci ziarno żywe,
ziarno ewangeliczne najwyższej mądrości,
co w sobie nosi słowo chrześcjańskiej wolności.
Bo dzisiaj... poganami pozorni chrześcjanie.
I bliżsi krzyża wolni, nie chrzczeni poganie.

Im niosę krzyż. — Nie przyjmą?.. to mi horda dzika
dozwoli zginąć chlubną śmiercią męczennika.

MAJOR (wzruszony,)

Tylu ich już zginęło!... Giną młodzi, starzy, —
giną wielcy i mali. — Podnóża ołtarzy
pokryte ofiar stosem który wciąż się pali,
a ludy jęczą! — Boże! kto je, kto ocali?!

(Matylda odchodzi w głąb i opiera się o skałę. Konrad stoi przy skale grobowej. Xiąże na przodzie — zamyślony z załamanemi rękami.)

MAJOR (do Xięcia ukazując Matyldę.)

Patrz! Twój oddech zatruty ściągnął gromy boże.
Przekleństwo w ród jej wniosłeś, przez małżeńskie łoże.
Uciekaj stąd!.. uciekaj!.. Polskiego imienia
wyrzeknij się na zawsze.... Wyrzeknij się dziecka.
Nie plam go wzrokiem swoim, tchem twego plemienia,
w którem każdy czyn... podły... każda myśl zdradziecka
Wróć skądeś przyszedł Chanie!... za uralskie rzeki.
I niech o tobie pamięć zaginie na wieki!

(Major i Xiąże odchodzą w dwie przeciwne strony. Major w głębi zostaje, oparty o drzewo. Matylda podchodzi naprzód.)

MATYLDA (do siebie, patrząc w stronę Konrada.)

Może ja mem wyznaniem złamałam mu życie?....
Mamże ja prawo aby jego serca bicie
między mną a ludzkością było podzielone?!..
Mamże prawo by chęci gorące, natchnione
rozwiał śród sennych marzeń na miłości fali?!...
w niewoli.... jak Herkules przy dworze Omfali!

Mamże, nim posłannictwa swojego dokona,
złamać ducha, co czuje w sobie moc Samsona?!
I gdy go wielkich czynów ożywia pragnienie,
może w zbolałem sercu miłości wspomnienie,
co mojego istnienia niebiańską pochodnią,
zmyli mu drogi święte?... (Zamyśla się.)
(Z energją.) Moja miłość zbrodnią.
(Przystępuje do Konrada.)
Konradzie!... Gdy mówiłam że ja kocham ciebie,
kłamałam... Czy ty słyszysz?... Kłamałam przed tobą.
Dziś, kiedy przeszłość moja okryta żałobą,
wszystko wyznam... Wszak dobrze odegrałam rolę?...
Wiesz że umiem udawać i rozpacz i bole.
Moje oczy kłamały.... i serce.... i usta....
Nudziłam się straszliwie.... Przyszła mi myśl pusta....
Chciałam ciebie probować.

KONRAD (mimowolnie, półgłosem.)

Ha! potwór! (głośno.) Kobieto!...
(Długie milczenie.)
Igrałaś z życiem.

MATYLDA.

Z życiem? — Z szaleńcem, z poetą.
Z blasku ócz twoich, z dźwięku twojej drzącej mowy,
poznałam żeś mię kochał. Szał młodzieńczej głowy
chciałam, bawiąc się leczyć. Co za myśl zuchwała!...
[Widzisz to jasne słońce? — I tych gwiazd milljony?
One świecą i we dnie, choć wzrok twój przyćmiony

nie dojrzy ich; tajemnie drżą jasnością swoją,
lecz przed promieniem słońca ukazać się boją.]
Mógłżeś mniemać w swej dumie, żem ciebie kochała?

(Śmieje się.)

KONRAD (pomieszany.)

Kto ci mówił o mojej miłości? O, Pani!
Ja jednem, jednem słowem uczuć mych otchłani
nie odkryłem przed nikim. Nie mówiłem tobie,
żeś piękna, żeś urocza, że w życiu i w grobie
byłbym z tobą szczęśliwy; nie rzekłem ni razu:
że mię w sennych widziadłach twojego obrazu,
ściga odblask tajemny, — żeś ty ideałem
młodzieńczych marzeń moich, czynów mych zapałem,

(zapominając się.)

żeś ty..... dla mnie najmilsza w twych rowiennic gronie...
i nie wstrząsłem cię burzą co wre w mojem łonie.

(patrząc na nią.)

Anim twojej przyjaźni nie żądał zuchwale,
ni uczuć siostry nigdym nie szukał w podziale,
ni dźwięku grzecznych słówek których próżnia boli,
ani spółczucia w szczęściu, litości w niedoli.

(Zamyśla się, patrząc jej w oczy nieprzytomnie.)

Och! tylko nigdy ciebie błagać nie przestanę,
ilekroć w strasznem, mglistem myśli mych pomroczu,
zniknie natchnienia promień, jak w zburzonej fali,

znika światło słoneczne, chmurami rozwiane,
o jedno, jedno tylko spojrzenie twych oczu,
...... choćby szyderskie, zimne jak błysk stali.

MATYLDA (żartobliwie.)

Chcesz ukrywać przedemną. Jest zdrajca tajemny,
co kraj najskrytszych myśli nieznany i ciemny,
chwyta w zwierciadła duszy malutkim obrazie,
i każdy uczuć odcień we wzroku wyrazie,
odsłania bez litości. Tylko trzeba umieć
czytać. — (Śmieje się wesoło.)

KONRAD (hamując złość.)

Tak, trzeba umieć czytać i rozumieć.
[Ale nie w waszym świecie, gdzie obłudy zbrodnia
jest zwyczajną zabawką powtarzaną co dnia;
ale nie w waszym świecie, gdzie niewiasty serce
wszystko co święte, tłumi w tlejącej iskierce. —]
Nie tobie dano pojąć tajemnic tych księgę,
i zbadać wzniosłych uczuć czarowną potęgę. —
Jakżeś ty zbrzydła dzisiaj!!.....

MATYLDA (zimno.)

Patrz — jaśnieję cała,
rozumu blaskiem, co nad mojem czołem pała.
[Dumna jestem, wspaniała, krok śmiały i pewny
wyższą mię czyni.—Wzrok twój ponury.... i rzewny!....]
Zazdrość mnie..... Ja rozwagi mieczem każdą duszę
podbiję, wzrok odtrącę, każde serce skruszę.

[Tyś słaby, wstydź się! gdzie męstwo?..... gdzie siła
woli?...
Cierp i milcz, gdy cię ostry cierń krwawi i boli.
Cierp, z pogodnem obliczem. Zasługą męczeństwo.
A miłość, miłość taka — marzenie, szaleństwo.....]
Jeżeliś mężny, wielki, siłą twego ducha,
zerwij ciężkie ogniwa miłości łańcucha;
otrząśnij się z widziadeł chorej wyobraźni.

(Po chwili.)

Zostaw mi tylko cząstkę, cząstkę twej przyjaźni.
[Ty mię kochasz Konradzie, widzę to i wierzę,
kochasz miłością wielką; dziękuję ci szczerze.]
Ale słuchaj mię; dokąd dójdziesz z twoim szałem?

KONRAD (w uniesieniu.)

O! na cożem cię poznał! na cóż cię ujrzałem!!

MATYLDA (zimno.)

Zaczynasz być rozsądnym, masz słuszność.

KONRAD (z wzrastającym zapałem.)

Ha! — piekło
wlewasz mi w duszę. Tak, to szał. Namiętność wściekłą,
jakiś szatan mi natchnął. — (Zatrzymuje się.)
(Z łagodnością.) Bluźnię; tchnienie Boże
tylko takie uczucie w sercu zrodzić może.

(Rozczulony.)

O, Matyldo! Ja byłem, tak byłem szczęśliwy.
Tak mi błogo dzień schodził! Ach! twój obraz żywy

jaśniał mi w duszy czystym, niebiańskim promieniem...
Całe me życie było wspomnieniem, — marzeniem.
Urokiem mowy twojej żyć mógłem tak długo.
Każde przyjazne słowo.....

MATYLDA (odwraca się w najwyższem uniesieniu.)

Co za męka!... Boże!.....
Miłość to rozpacz, — gdy nas połączyć nie może.

(Do Konrada.)

Nie masz prawa mnie kochać.

KONRAD (postrzegając się.)

Cóżem wyrzekł! — Dziecko,
dziecko z ciebie!..... chciałaś mnie wybadać zdradziecko.

(smieje się.)

MATYLDA (wzruszona.)

Konradzie!

KONRAD (zimno.)

Próżność w obłęd wprawia cię zwodniczy.
Im większy będzie zawód, tem więcej goryczy.
(szyderczo.) Gdybym cię śmiał pokochać, oświecona Pani,
wiesz że życia nie cenię, w śmiertelnej otchłani,
znalazłbym cierpień koniec. — Lżej umrzeć, niż znosić
litości piekło, albo o wzajemność prosić. —

(Nieprzytomnie.)

[Tak, ja — umrę. Ty, będziesz żyć szczęśliwa, dumna
xiążęcem dostojeństwem, bez serca, rozumna

codziennej przebiegłości rozumem morderczym;
zawsze zbrojna litością lub śmiechem szyderczym!.....
Uspokój się Xiężniczko! — W bezmiarze cierpienia,
wyćwiczony przez cały ciąg mego istnienia,
umiałem znosić wszystkie świata tego męki,
i z miłości nie wzniosę samobójczej ręki. —]
Ty mię chłodem słów twoich w tyrańskiej rachubie,
chcesz poświęcić niechybnej wśród bolów, zagubie; —
w sercu topisz nóż, dumy uczuciem miotana,
i patrzysz zimném okiem czy głęboka rana!.....

(Unosząc się coraz więcej.)

[I dumna ducha mocą, chcesz w zabójczem słowie,
mnie schronionemu w ciche i głuche pustkowie,
ostatni cios śmiertelny wymierzyć, i śmiechem
szatańskim, strasznym, *twoim* z ostatnim oddechem
konającej ofiary zlać się w jedno brzmienie,
w jeden piekielny akord, i ostatnie tchnienie
marzyciela, szaleńca, rozumem ze stali,
jak trupa krajać, ważyć na rozsądku szali! —]

(Z uczuciem największej boleści.)

Ja już biesiadę życia, w dni moich połowie
skończyłem. Spojrzę w przeszłość..... — Straszliwe pustkowie
widzę tylko za sobą. — Próżno, głucho, ciemno.
Po mnie śladu już niema! Grób straszny przedemną.
Przebiegłem życia kolej w występnym bezruchu;
wszystko co było Boskie w nieśmiertelnym duchu,

zmarnowałem, zdeptałem, jak grat niepotrzebny; —
i w sercu mem zgryzoty utkwił cierń haniebny!
Młodzieńcze moje, pełne rajskich ułud, lata
pierzchły jak sen poranny, jak zmora skrzydlata!. ...
I wielkość, imię, sława co mi w duszy wrzały,
Ojczyzna, wielkie cele, z dymem uleciały!.....
[Dziś złamany, zbolały, upadły, wzgardzony,
twem szyderstwem przeszyty, rozwagą zmrożony,
gdy myślą mimowoli, wznoszę się nad tobą,
jako zbrodniarz drzę cały, stojąc sam przed sobą.]
A ten co ziemię z Niebem w dźwięk jeden kojarzył,
co gromy czynów dzierzył, i w dumie swej marzył:
wieniec wielkiego męża, rycerza, poety,
dzisiaj szkielet! — i przez co? (z szyderczym uśmiechem.)
przez oczy kobiety!

(Po chwili.)

A! powiedz, czy cię kiedy kochałem?.....

(nieprzytomnie ze złością.)

[Okrutna!..... patrz do głębi, w duszy mej tajniki,
badaj każdy ruch serca, zapuść wzrok twój dziki
w najskrytszych myśli moich przepaściste tonie,
dojrzysz tylko nienawiść co wre w mojem łonie.]
Dumna! — myślisz że dosyć spojrzeć w twe oblicze,
by rozniecić miłości uczucia zwodnicze?!.....
Ja ciebie nienawidzę..... (oddala się i siada pod drzewem.)

MATYLDA (odwrócona.)

Boże! Co za męka!

(Wpatruje się długo w Konrada — potem zbliża się gwałtownie do niego.)

Mój drogi, mój jedyny, mój luby, ta ręka
nie dla ciebie, Konradzie. Uścisk jej ostatni.....

(Rzucając się na szyję — całuje go w czoło.)

i ten święty, niewinny pocałunek bratni...
niech ci będzie nagrodą za twoje cierpienia.
Rzucam cię, lecz przysięgam na ten znak zbawienia....

(Podnosi krzyż wzięty u Konrada.)

Z biednem, rozdartem sercem, z kłamanym uśmiechem,
Matylda *twoja* wiecznie żyć będzie oddechem
przeszłości błogiej z tobą, myśli twojej tchnieniem
i nauk twoich skarbem i twojem wspomnieniem.

KONRAD (osłupiały wstrząsając silnie rękę Matyldy.)

Matyldo!..... (z obłąkanym zupełnie wzrokiem.)
Matyldo! Widzisz, widzisz, jaki blask wokoło?
jakiem złocistem światłem jaśnieje me czoło?

(bierze się za głowę.)

Ten wieniec! Taki świetny!..... Tyś mi go na skronie
włożyła; wieniec z lauru! Patrz, patrz jak on płonie
nieśmiertelności światłem. Dumny jestem, wielki.
Genjuszu iskra błyszczy w mojem oku,
i z każdej, myśli moich, drgającej kropelki
rodzi ocean wiedzy ginący w obłoku.

(Powstaje i wstępuje na skałę.)

A to! (Ogląda się wokoło.)
To moje dzieło! — Trofea mej mocy.
Siłą mych uczuć, i rozumu siłą
zwalczyłem hydrę ciemiężców stugłową.
Nędzarzów wzniósłem z upodlenia nocy,
zgniliznę świata przykryłem mogiłą. —
Na me skinienie, na jedno me słowo
padali na twarz mocarze — tyrany.
Na me skinienie, anioły, szatany,
z olbrzymich zwalisk, dźwignęli świat cały;
skruszyli głaz ten co ziemię przywalał.
I ot! gmach powstał, nowy, odmłodniały.
Na starych gruzach — jam tylko ocalał.
[Sam jeden tylko! — Stworzę ludy nowe,
i nową wiarę w ludów mózgi wcielę
i starych zbrodni potwory wiekowe
przywalę nogą, wdepcę aż pod ziemię;
w piekielnej bezdni, zagrzebię popiele,
w piekielnym ogniu spalę brzydkie plemię.
Wszystkich duchów rozpierzchłych skupiłem ognisko,
wszystkich pochlebców wzniósłem co pełzali nisko.
Zniszczyłem nauk tłumy.
Zebrałem w jedno mędrców rozumy, —
i ich głupią rachubę zaskrzepłą bez wiary,
ogrzałem mego ducha tchnieniem, i w bezmiary
nierównej walki rzuciłem ich głowy.
Zginęli wszyscy, lecz powstał świat nowy.

Dziś uczułem moc moją, siłę mojej woli.
Jam tu wszechwładnym panem. — Na tej nowej roli
zasieję bujne ziarno; ogrzeję mem ciepłem,
pokropię tą posoką, co w bagnisku skrzepłem;
przywołam słońca promień, tchem Bożym powionę,
i zrodzę piękną łąkę, nadzieją zielonę.
A wzrosną złote kłosy, jak jeden, wspaniałe,
równe, zdrowe, ziarnkami napełnione całe,
z głową w Niebo wzniesioną, a korzeńmi swemi
przyrośnięte do ziemi, do rodzinnej ziemi, —
wyłuszczę ziarnek krocie, i po całym świecie
rozsypię, aż je wszędzie wiatr czasu rozmiecie.]
Jakżem wielki, potężny! Z nicestwa ogromu,
powstają nowe ludy. Z ócz mych nakształt gromu
wypada iskra, tleje, płomieni się, żarzy,
bucha niebiańskim ogniem i na każdej twarzy,
jaśnieje światłem prawdy, wkoło blask roznieca,
i gruby pomrok mglistej wędrówki oświeca. —
Ja na czasu rydwanie z tryumfem wiedziony,
objeżdżam wszystkie kraje; mojemi ramiony
ogarniam niebo, chwytam i białą zasłoną,
okrywam ziemię całą, w rozkoszy uśpioną. —
Ha! czas spocząć po trudzie; wielka była praca.

(Zasypia na skale.)

MATYLDA (kładąc mu rękę na czole.)

Jaki żar! O, szczęśliwy. To życie mu skraca.

A ja! ja wszystko zniosę!... Mądrość — to cierpienie.
Hasłem mojego życia: walka, poświęcenie.

KONRAD (budzi się.)

Toś ty! kobieta!..... Czego szukasz, czego?
Sławy, kwiatka — czy lubego? —
Miłości? czy kochanka? Niema go tu, niéma.
Precz ztąd! Stoi jak mara. Czy znałaś Matyldę?
Brzydka, lecz do aniołów podobna. —
Na czole jakiemś rzewnem zamyśleniem zdobna;
na ustach śmiech szyderczy, a na twarzy zima...
W oczach jej ogien błyszczał, lecz serca nie miała.
Na ten świat przyszła bez serca.....
Ale w głębi duszy tlała
jakaś iskierka. -- Przyszedł morderca
rozniecił iskrę, i zabił ją, zabił!
O, ona żyła jeszcze, ale on ją zabił.
[Ty tego nie pojmujesz. — Ja kochanka twego
nie widziałem. — Idź, idź precz ztąd! — A ty Matyldę
widziałaś? Gwiazdą spadła, tam, do zamku tego.
Śliczna, ale rozumna, zwyczajnie kobieta.....
Jak wszystkie..... i wesoła, i pusta, i rzewna.
Czasem tkliwą piosnkę nuciła, to znowu
serdecznie się rozśmieje..... Moja blizka krewna. —
Mógłby ją kochać jaki artysta, poeta.....
lub jaki wielki Xiąże, wielki szewc, to jedno.
Świat nie poznał się na niej, i wyniósł ją biedną,

ponad wszystkie dziewice, obsypał ją złotem;
na drogę rzucił kwiaty kolczaste, a potem.....
Co się potem z nią stało?.....]

MATYLDA (w najwyższym wysileniu.)

Konradzie, mój drogi!.....

KONRAD (przychodząc nieco do przytomności.)

To znajomy głos dawny!..... Ja żebrak, ubogi,
ja ten głos już słyszałem. (Wpatruje się w Matyldę. — Prowadzi ją do światła księżyca.) Jej oczy! — jej oczy!
Poznam je, choć najgrubsza noc ziemię otoczy.
[To ty, to ty? Matyldo! Takiemi oczyma
pomnę, patrzałaś na mnie owego wieczora.....
Pamiętasz?..... była północ, i spóźniona pora.....
Jam tobie opowiadał.....]

(Matylda patrzy mu w oczy.)

(KONRAD odwraca się.)

A! a! któż wytrzyma
pociski twoich oczu! — (Bierze ją za rękę,)

Ha! drzysz cała!.....
Nie, nie! To nie Matylda. Nigdy tak nie drzała
moja dumna Xiężniczka. —

(Po chwili — w obłąkaniu.)

Ty nie znasz Xiężniczki? —
Jeżeli spotkasz kiedy w pięknych niewiast gronie
najsmutniejszą dziewicę w jasnej z tęcz koronie,

powiedz: żeś mię widziała w wielkich mężów kole,
z oliwną rószczką w ręku, z tym wieńcem na czole;
[żem wszystko wspak przewrócił, cały świat przetworzył,
żem spisał nowe księgi, nowe pieśni stworzył,]
żem kobiecie dał serce, mężom silną wolę,
żem miłość wygnał z ziemi, z nią rozpacz i bole,
[żem w lemiesz, miecz przetopił, złoto w poświęcenie,
żem śmierć zamienił w roskosz, a pracę w wytchnienie,]
żem przerobił odwieczny porządek natury,
że mi stawią kolossy, posągi, marmury,
żem zdobył wielkie imię, (tajemniczo.) tylko nie mów tego,
żem ją kochał..... (groźnie.) gdy powiesz.....

(Dobywa sztylet w kształcie krzyża.)

zginiesz... nie mów tego.....
Ach! tak kochałem!.....
Gdybyś widziała jej lica,
jej wzrok łagodny, tęskny. jak promień księżyca.....

(z okropnym gniewem.)

Ha! wzrok zabójczy, zimny, jak ostrze sztyleta,

(patrzy na sztylet.)

zimny, jak piekło. Taki. (Z uśmiechem.) Szaleniec... poeta...

(śmieje się.)

Ona to powiedziała..... ha!..... rozumu siła!...
siła woli. (Zamyśla się.) A! wtedy..... jakiemi patrzyła
oczami!..... Czasem..... czasem.....

(w najwyższej nieprzytomności.)

....ona mię kochała,
wyznała wszystko..... potem, nie... nie... nie! skłamała,
zdeptała miłość, starła! — tylko mi na skronie
włożyła ot, ten wieniec, tu, patrz, patrz jak płonie!

(trze czoło.)

Piecze mię. (z straszliwym śmiechem.)
Moich czynów, mych zasług nagroda!
A dziś, dziś zhańbionemu (zakrywa twarz.)
kto mi rękę poda
by mię dźwignąć z pod głazu? Och! ten pomnik
krwawy...
tak mię dławi. (Upada pod drzewem i opiera się na ręku.)

MATYLDA (wydaje krzyk przeraźliwy.)

Ha! moje słowa go zabiły!

(patrząc okropnym wzrokiem na Konrada.)

Trup!..... trup!.... ofiara dumy, miłości i sławy!.....
Szalony!.... trup dla świata!...

(wyrywa sztylet od Konrada i wpatruje się weń.)

Boże! dodaj siły!.....

Z za drzewa wybiega Major i odbiera sztylet.

X.

MATYLDA (w najwyższej rozpaczy do Majora.)

Patrz... Ja go jednem słowem... miłością zabiłam.
Ja go mem tchnieniem..... memi ustami splamiłam.

(Odciągając Majora; — tajemniczo.)

Bo ród mój nosi piętno przestępstwa Kaina, —
i na mnie jeszcze ciąży ojców moich wina!...
Ja mu wydarłam serce, zacności świątnicę.
On mnie kochał..... O mam już mam tę tajemnicę;
mam ją na gruzach życia, co za ludzkość całą,
za kraj ojczysty, braci, ofiarą być miało!....
I to życie tak piękne... życie, własność cudzą
chcąc ocalić, zgasiłam!.... Już go nie rozbudzą
zapały świętych natchnień, wielkich mężów czyny.
A z tej bezwładnej bryły, z tej strasznej ruiny
żaden już promień światła na naród nie spłynie!

MAJOR.

Chociażby zginął siewacz ziarno nie zaginie. —
Tylko apostoł fałszu przepada bez śladu.
Z kąkolu... wcześniej, później.... wyradza się śmiecie,
pościel dla niewolników, — siedlisko dla gadu.
Lecz dobre ziarno sam Bóg rozkrzewia po świecie.
Nad wami już się niebios zakończyła kara.
Za wszystkie dawne grzechy spełniona ofiara.
Ty zmyłaś skazę rodu cnotą, poświęceniem.
On miłość, z którą walczył, okupił cierpieniem;
i w burzy ludzkich uczuć choć omdlał na chwilę,
przebywszy czysca męki wstanie w nowej sile. —
Ból to czyściec! Pokrzepia i do Boga zbliża.
A niema posłannictwa bez cierpień i krzyża.

(Z rozrzewnieniem biorąc rękę Matyldy.)

O, szlachetna!... Nie!.. Tyś mu serca nie wydarła.
Tyś się z zacnych pobudek miłości zaparła.
Jak bohater.... pojęłaś najwyższą powinność.
Bóg widzi poświęcenie, widzi twą niewinność.
Bądź godną twego mistrza, — dziewic polskich wzorem.
I przed nim i przed tobą świat stoi otworem.
Żyjcie oboje, — czystą miłością natchnieni, —
dla ojczyzny; — boleścią na duchu wzmocnieni.
Niech wytrwale, niezłomnie każdy w swym zakresie,
miłości, cnoty, ofiar posłannictwo niesie, —
przyjdzie czas gdy nasz naród, wśród zdziwionych ludów,
wzniesie się ponad wszystkie i dokaże cudów.

(Zbliża się do Konrada i w szczelinie skały łamiąc sztylet, wznosi krzyż.)

Oto godło zwycięstwa! Powstań w imię Boga!
Idź w świat. Przed tobą wielka posłannictwa droga.
Złam miecz. A tylko z krzyżem, z ewanielją w dłoni,
walcz za prawa ludzkości, Orła i Pogoni.

KONRAD (budząc się z zamyślenia.)

Święte hasła! (Matylda podaje mu rękę.)
(z żywością.) Ty ze snu budzisz mię do czynu.

(Klęka przed Matyldą.)

MATYLDA (podnosząc rękę.)

Święte hasła!

KONRAD (klęcząc zwraca się do Majora.)

Błogosław. (Całuje rękę Matyldy.)

MATYLDA.

Idź bracie!

MAJOR (stojąc po srodku z krzyżem.)

Idź synu!

KONIEC.